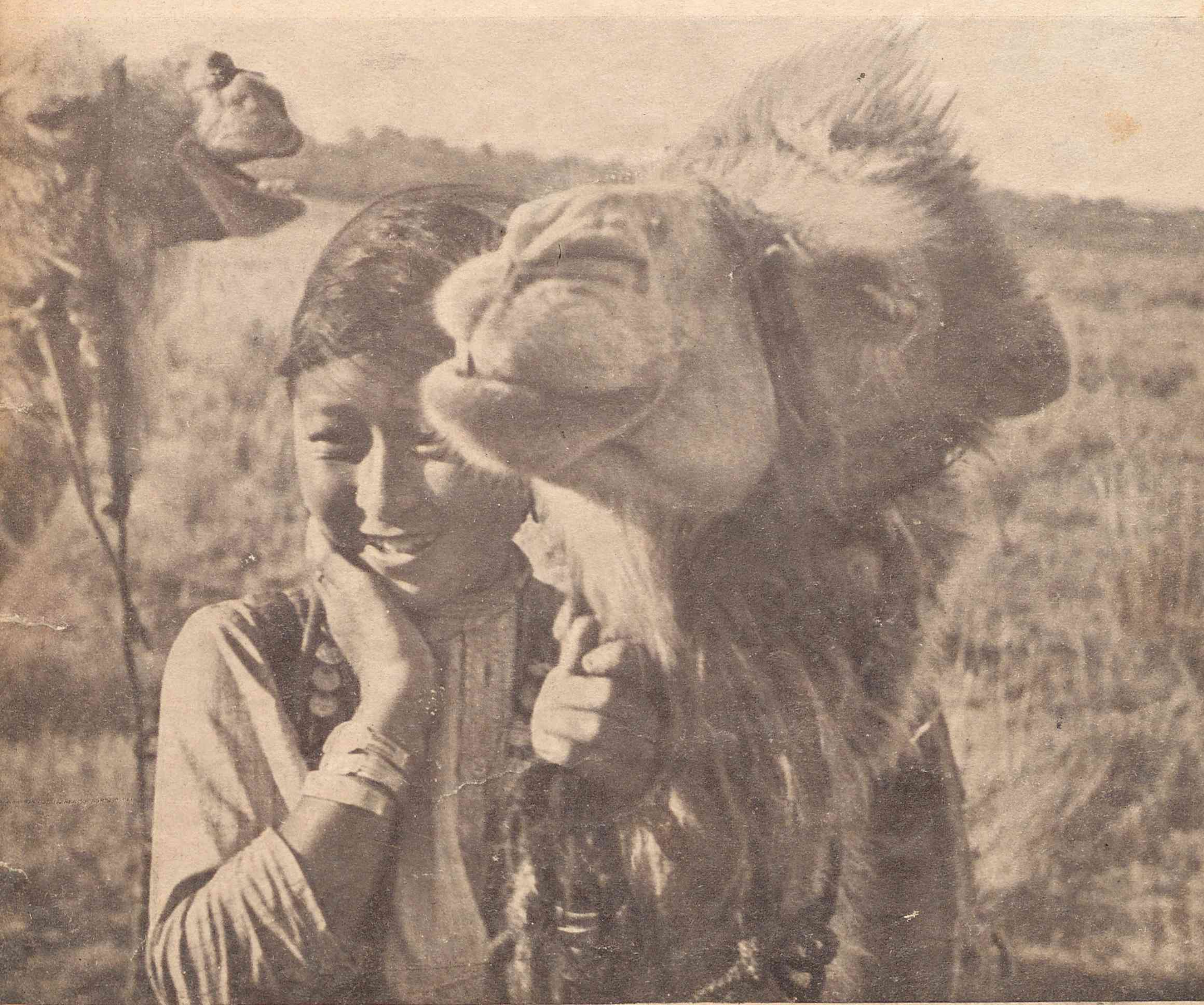
ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 16. 18. IV. 1936

WIOSNA W STEPIE



PRASA Z CAŁEGO ŚWIATA

Jeszcze o Nadrenji

SUNDAY REFEREE, Londyn:

Czy konflikt francusko-niemiecki zbliża się do rozwiązania? Ażeby sobie zdać dokładnie sprawę z położenia, jest niezbędne przypomnienie sobie, że od początku XIX wieku Francja została trzykrotnie napadnięta przez wroga. Nie należy zapominać, że ten koszmar gnębi Francuzów mimo ostatniego zwycięstwa nad napastnikiem.

Francja zdawała sobie sprawę, że będzie bezpieczna dopóki Niemcy zostaną otoczone. Ale przez kurtuazję dla sprzymierzeńców zgodziła się uznać wbrew przekonaniu, że demilitaryzacja strefy nadreńskiej jest wystarczającą próbą intencji pokojowych Rzeszy.

Jeżeli Niemcy naprawdę pragną pokoju, remilitaryzacja Nadrenji nie jest dla nich konieczna.

Z drugiej strony niemiecki punkt widzenia wydaje się słuszny: „Chcemy suwerenności nad naszemi terytorjami", mówi Hitler, „i nie zgodzimy się na niefortyfikowanie Nadrenji, o ile Francja nie zobowiąże się analogicznie do rozbrojenia swych nadgranicznych obszarów".

Ta odpowiedź winna być rozważana w świetle trzykrotnej inwazji Francji przez Niemcy w ciągu jednego stulecia. Jeżeli Francja protestuje przeciw remilitaryzacji Nadrenji, to czyni to dlatego, że grozi to jej znów najazdem.

Znaczenie strategiczne Renu

KRASNAJA ZWIEZDA, Moskwa:

Niemiecka literatura wojskowa stale utrzymywała, że lewy brzeg Renu jest niezbędny dla Rzeszy dla stworzenia warunków, umożliwiających atak na Francję. Panować nad strefą nadreńską — to panować nad Francją aż po Marnę.

Klausewitz w swem dziele pod tytułem: „Ofensywa na Francję z roku 1814" podkreśla znaczenie strategiczne Renu, a głównie jego lewego brzegu. Mówiąc o położeniu armji francuskich po bitwie pod Lipskiem, notuje: „Armja francuska została pokonana i nie mogła myśleć o obronie ani Renu, ani Mozy, ani Wogezów, ani pagórków nadreńskich". A dlaczego? bo lewy brzeg Renu był w ręku sprzymierzonych, tak jak obecnie jest w posiadaniu Rzeszy.

Jakiż był w owym czasie plan akcji wojskowej przeciw Francji?

Klausewitz wskazuje, że główny nacisk położono na posunięcie trzech wielkich kolumn na Luxemburg, Metz i Nancy. Gdyby wróg zdołał zająć drogę z Metzu do Paryża, Niemcy musieliby skoncentrować swe siły koło Verdun i Châlons.

Linja Maginot zmieniła tę sytuację. Ale z punktu widzenia strategji, znaczenie strefy nadreńskiej nie zmalało.

Oto, co mówił o znaczeniu Renu feldmarszałek Moltke senjor w swej książce: „Wojna francusko-pruska": „Naszem zadaniem jest odnalezienie głównych sił przeciwnika i zaatakowanie ich bezzwłoczne. Szef sztabu generalnego (to znaczy sam Moltke) opracował, zatwierdzony przez króla plan, który przewidywał zajęcie stolicy wroga".

Moltke wyznaczył dla koncentracji wojsk lewy brzeg Renu i Palatynat. Podkreśla w swej książce, że w ten sposób zajmował stanowisko bardzo mocne. Siły niemieckie trzymały w szachu cały Ren i mogły zatrzymać każdą ofensywę francuską.

Plan Moltkego pozostaje dla strategów wciąż aktualny. Mógł on znaleźć odstępców, ale doświadczenie wielkiej wojny wskazuje, że Moltke miał rację.

A oto, co pisał von Schlieffen w 1905 r.: „Trzeba będzie zaatakować lewe skrzydło francuskie, aby odrzucić je w kierunku Jury i Szwajcarji. Armja francuska powinna zostać unicestwiona. Ta operacja wymaga utworzenia bardzo mocnego prawego skrzydła, które zmusi wroga do odwrotu (Groener, „Testament hrabiego von Schlieffen", 1927).

Realizując ten plan w 1914 r. armje niemieckie przeniknęły przez Belgję i weszły do Nadrenji. Bitwa decydująca rozegrała się, jak przewidywał Klausewitz, niedaleko Paryża. Znaczenie strategiczne Nadrenji zostało dostatecznie potwierdzone przez historję.

Warunki obecne nie są identyczne, jako że granice Francji i Belgji są mocno ufortyfikowane. Jedna Holandja pozostaje bez umocnienia. Właśnie tamtędy armje niemieckie mogą przeniknąć do Belgji i Francji. Szwajcarja jest równie słabo broniona i wojska niemieckie mogą ją wybrać jako drogę do Francji.

Jest rzeczą możliwą, że generałowie niemieccy ze szkoły Klausewitza, Moltkego i von Schlieffena opracowują obecnie plan pogwałcenia neutralności Holandji i Szwajcarji. Takie są założenia planu Eppa, który mimo wszystko jest „piękny i realny".

Klausewitz, Moltke i von Schlieffen są zawsze uznawani, jako mistrzowie sztuki wojennej w Niemczech. Nikt lepiej, niż oni nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia strategicznego Renu. Ostatnie wydarzenia potwierdzają nam całkowicie, że rola wojskowa strefy nadreńskiej jest absolutnie uznawana przez czynniki, kierujące polityką Trzeciej Rzeszy.

Mała Ententa solidaryzuje się z Francją

UNIVERSUL, Bukareszt:

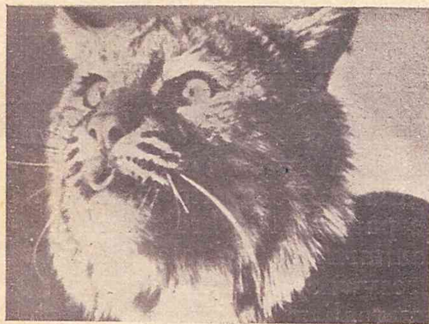
Od chwili, gdy wojska niemieckie zajęły strefę zdemilitaryzowaną, nie przestajemy alarmować, stwierdzając, że fakt pogwałcenia traktatów przez Niemcy znajdzie z pewnością naśladowców, tem pewniej, że wielkie mocarstwa wahają się z zastosowaniem sankcyj, zawartych w pakcie Ligi Narodów.

Ostatnie posunięcia Austrji świadczą, że alarm był słuszny. Ale tym razem Mała Ententa ma obowiązek wykazać, że nie toleruje polityki faktów dokonanych.

Niema czasu na platoniczne protesty i rozmowy. W obliczu agresywnej postawy rewizjonistów trzeba zająć stanowisko represji wojskowych natychmiastowych i energicznych, aby wykazać agitatorom, że każda prowokacja wywoła automatycznie kontratak.

W tem, co dotyczy Rumunji, Rząd winien przedsięwziąć środki, umożliwiające gotowość natychmiastową, z tem, że na początek wystarczy koncentracja wojsk, mogąca przekształcić się w niezwłoczną mobilizację, aby wykazać słuszność ciemiężcom ludów dawnej monarchji austro-węgierskiej.

Małej Ententcie, powtarzamy, nie wolno czekać aż zostanie postawiona przed nowym „faktem dokonanym".

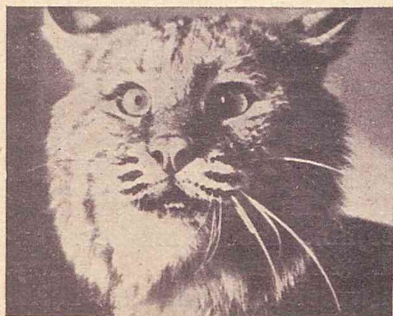


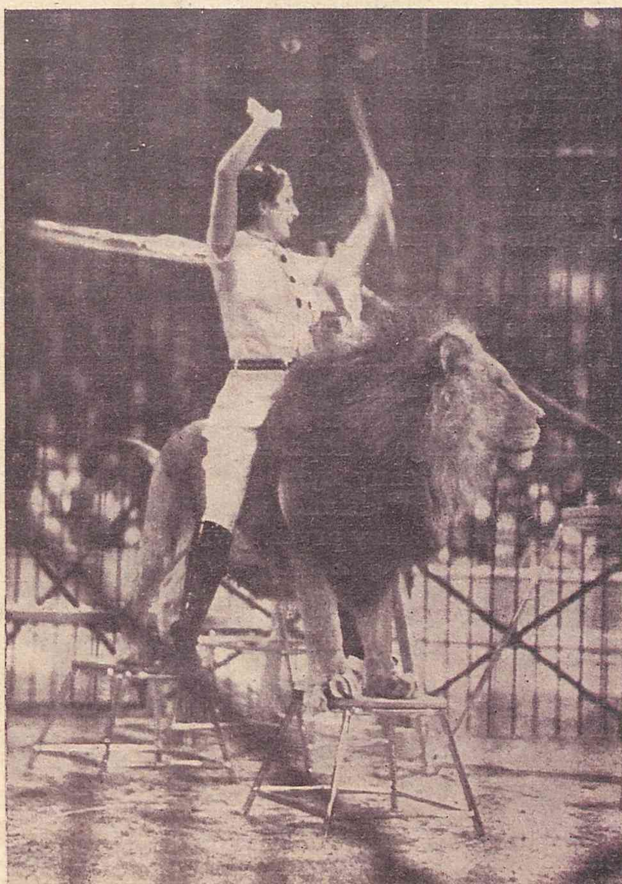
ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 16 18. IV. 1936

KOBIETY POGROMCZYNIAMI





Pamela Bourne, najmłodsza pogromczyni lwów, popisuje się w cyrku Londyńskim jazdą na lwie.

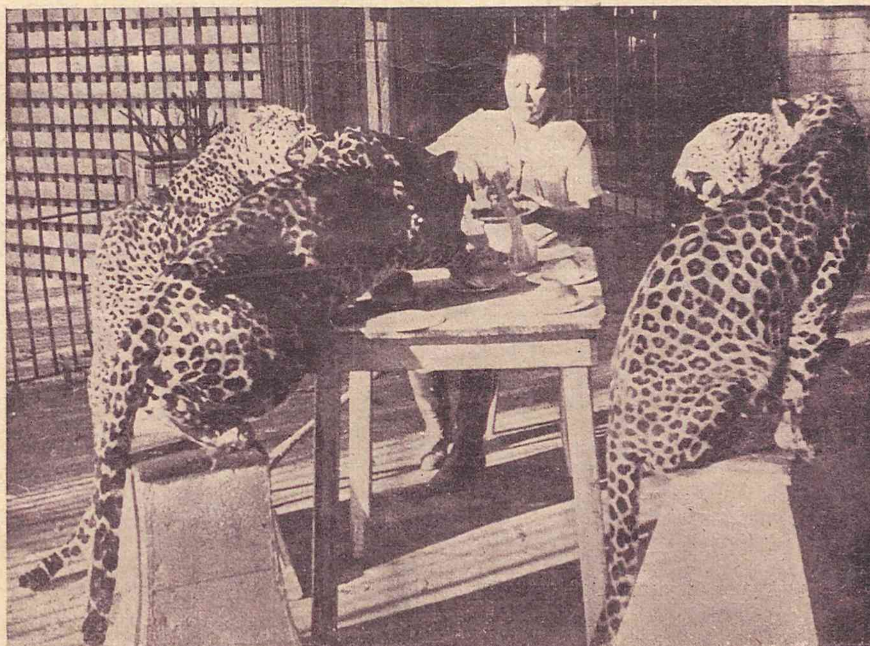
∞



Zdjęcie poniżej: Olga Celeste, jedyna na świecie pogromczyni lampartów, spożywa najspokojniej śniadanie w klatce swych pupilów, w Los Angeles.



SYMPATYCZNY DRAPIEŻNIK PRZED OBJEKTYWEM



LEON CHRZANOWSKI

IMPAS EUROPEJSKI

Powikłania dyplomatyczne i wynikłe z nich zdenerwowanie świata — doszły niemal do kulminacyjnego nasilenia.

Sam fakt, iż istnieje możliwość formułowania pytania „czy będzie wojna między Anglją a Włochami“ — dowodzi potworności nonsensu sytuacji międzynarodowej. Nie gra roli, że pytanie to może być uważane za „kawiarnianych polityków dywagacje“ — fakt, że w naiwności trwogi o pokój i w logiczności wniosków liczne rzesze „szarych ludzi“ mogą wogóle w taką możliwość wierzyć, świadczy, że dyplomacja międzynarodowa... dopchnęła świat do groźnego impasu.

Kiedy rozpoczęły się działania wojenne w Abisynji — dzięki umiejętnej propagandzie angielskiej, wyzyskującej wszystkie szlachetniejsze odruchy ludzkości dla słabszego a napadniętego — głos powszechny był po stronie Abisynji. Widziano w niej słabe państwo, słaby prymitywny lud, broniący swej ziemi.

Tak było do pewnego stopnia.

Zaatakowanie Abisynii przez Włochy przysłoniło uwagę wielu, którzy nie mogli, czy nie chcieli dostrzedz, iż jest to wojna raczej angielsko-włoska, niż włosko-abisyńska.

W 1925 roku traktat — porozumienie między Anglją, Włochami a Francją dokonał podziału wpływów, a więc eksploatacji, i właściwie podziału Abisynji. Wówczas Anglja nie występowała jako champion niepodległości i niepodzielności Abisynji. Przeciwnie, starała się zabezpieczyć sobie jaknajtłustszy kąsek czarnego lądu. W roku 1935, gdy Włochy ruszyły manu militari, aby rozszerzyć swe imperjum kolonjalne, znalazły na swej drodze Anglję. To Anglja podtrzymywała opór Abisynji, to Anglja, zachęcając ją do boju, utrudniła rokowania przedwojenne, to Anglja parła do sankcji ekonomicznych, to Anglja uniemożliwiła zakończenie wojny, wówczas gdy plan Laval - Hoare, miał szanse przerwania przelewu krwi. W całej więc wojnie abisyńskiej Anglja zdecydowanie podtrzymywała zapał wojenny abisyńczyków.

Napozór był to gest szlachetny, piękny, ideowy. Kto potępia agresję, komu droga jest idea stanowienia o sobie narodów — musi być sercem po stronie napadniętego, musi patrzeć z żalem, że niezależność jakiegoś narodu stoi pod znakiem zapytania.

Ale wystarczy pod światło spojrzeć na pobudki i założenia polityki angielskiej, aby przekonać się, że ci, co z niepodległością Indji i Egiptu bawią się jak żongler celuloidową piłka, nie są znów takimi obrońcami idei niezawisłości narodów. Anglja, która dziś gorzej niż krzywo patrzy na możliwość rozrostu kolonjalnego mocarstwa Włoch, posiada już oddawna kolonje, których nie sprowadzili do niej pastorzy anglikańscy czytaniem Biblji. Donośny grzechot manlicherów wtórował często... poszanowaniu cudzych, kolonjalnych niepodległości przez anglików.

Angielskie więc piórka humanitaryzmu szybko opadną, gdy spojrzymy na nie w świetle faktów. Kiedy projekt „Laval-Hoare“ zarysował możliwość końca wojny, runął on pod racami oburzenia anglikańskiej pruderji politycznej.

Było to przed zajęciem zdemilitaryzowanej strefy nadreńskiej przez Hitlera.

Wówczas to premjer Baldwin oświadczył w parlamencie, że gdyby mógł powiedzieć o tem, o czem musi milczeć, a o czem wie, to wszyscy przyznaliby mu rację. Baldwin już wówczas musiał wiedzieć o groźnych projektach Hitlera, musiał o nich wiedzieć Hoare, pragnący, aby wojna w Abisynji ukończyła się i aby wszyscy lokarniści mieli wolne ręce w momencie realizacji pogróżek niemieckich.

Zresztą o zamiarach zajęcia strefy nadreńskiej wiedzieli i pisali niektórzy publicyści angielscy i francuscy — nie wiedzieli o tem tylko przysięgli dyplomaci. Niemcy — nie kryli się zanadto. Propaganda niemiecka, pragnąca wystawić Niemcy w oczach Włochów, jako jedynych przyjaciół, nie próżnowała. W każdej skrzyni towarów wysyłanych do Włoch znajdowały się ulotki i odezwy — nawołujące Włochów do wytrwania, do nieliczenia się z sankcjami. „Wytrwajcie tylko do wiosny— głosiły ulotki niemieckie — a zwycięstwo wasze jest pewne“.

Konsekwencje wojny abisyńskiej dla Europy, widoczne były dla każdego, kto trzeźwo na nie patrzył. Nie brak uczuć humanitarnych, nie tolerancja dla agresywnej polityki, ale przykry realizm polityczny dyktował nielicznym publicystom uwagi i przestrogi. Obawa przed wielkim pożarem, każe straży ogniowej rozebrać często przeszkody do ugaszenia narazie małego pożaru.

Co dotąd wygrała Abisynja na pomocy i zachętach Anglji?

Olbrzymie straty moralne i materjalne, moc zabitych i rannych. Pogrom na polu bitwy. Możliwości rozkładu wewnętrznego. Opuszczenie w momencie najdramatyczniejszym.

Konsekwencje odosobnienia Włoch w czasie wojny mogą być dla Europy dramatyczne, o ile Anglja szybko się nie opamięta, o ile naprężenie między Francją a Anglją nie zostanie wkrótce usunięte.

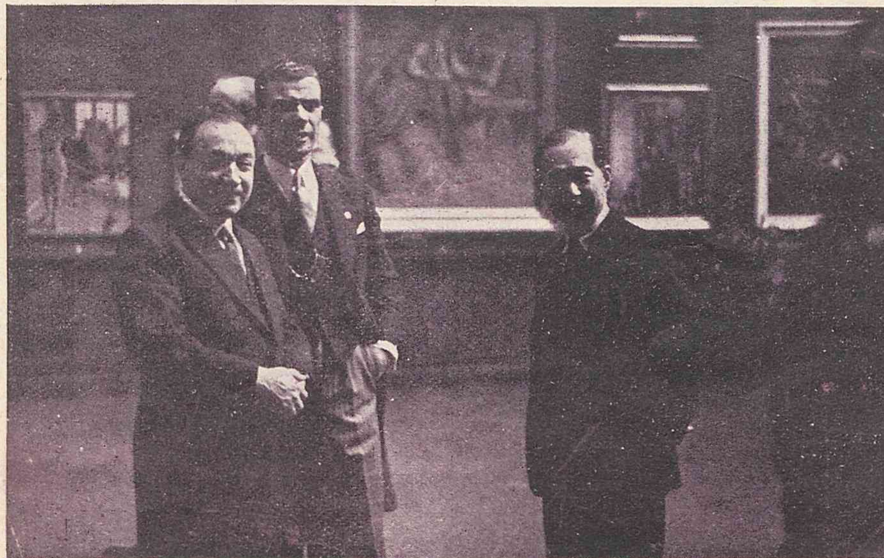
Sankcje ekonomiczne zbankrutowały. Wykazały one, jak małej wartości to broń. Wykazały, że w tej dziedzinie na solidarność międzynarodową nie można liczyć.

W swem wyspiarskiem zacietrzewieniu Anglja, która nie żąda sankcji przeciw Niemcom łamiącym traktaty — chce nowych ostrzejszych wystąpień przeciw Włochom. Szczyt niekonsekwencji politycznej — nie, poprostu zwykła perfidja polityki angielskiej.

W imię pokoju w Europie, z sankcjami trzeba skończyć. Finansowo zarobiły na nich Niemcy. Politycznie na wojnie abisyńskiej i konflikcie anglo-włoskim zarobiły Niemcy. Ocalenie godności Abisynji, zakończenie masakry — oto cel natychmiastowy polityki europejskiej! Ale jednocześnie z tem nie należy zaostrzać sytuacji, lecz ją porządkować — sankcje, bezwartościowe sankcje znieść. Nawiązać nić porozumienia mocarstw zachodu — inaczej po podarciu traktatów pozostanie nam już tylko rozdarcie nieagresywnych sił Europy.

Obrońcy status quo muszą się zespolić — wobec zespolonych, zwartych, zmotoryzowanych Niemiec.

Z ŻYCIA TOWARZYSKIEGO I ARTYSTYCZNEGO STOLICY



Ambasador Włoch, Bastianini, oraz ambasador Turcji i poseł Japonji na Wystawie Łotewskiej w Zachęcie.



WYSTAWA SZTUKI ŁOTEWSKIEJ W ZACHĘCIE

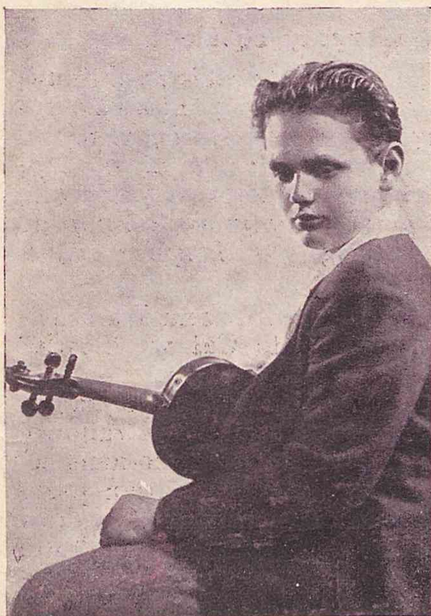
Zdjęcie na prawo: chór pań łotewskich w strojach narodowych wykonał na wystawie szereg pieśni łotewskich, zyskując poklask publiczności.



fot. E. Fikus

PAUL MUSIKONSKI



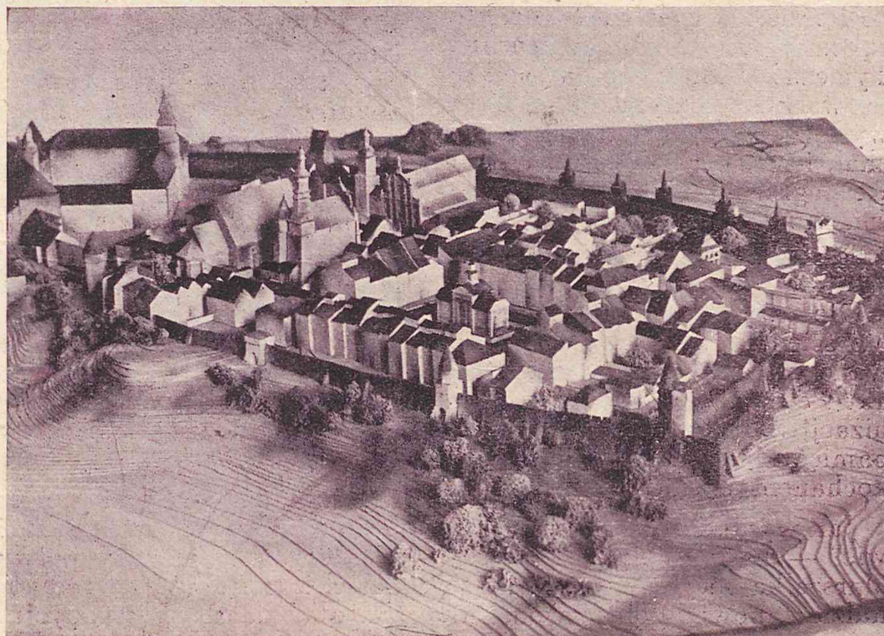


doskonały młody skrzypek, koncertuje w Warszawie, w Konserwatorjum, dnia 19 kwietnia r. b.

Z WYSTAWY „WARSZAWA PRZYSZŁOŚCI" W MUZEUM NARODOWEM

fot. J. Ryś

Zdjęcie na prawo: Model plastyczny Starej Warszawy w obrębie murów obronnych w. XVI.



POŁÓW PEREŁ



Dlaczego tak pocichu?

Uczczenie najgodniejszej pamięci Marszałka Piłsudskiego leży na sercu wszystkim bez wyjątku polakom. Miejsca Jego wiecznego spoczynku są dla nas wszystkich miejscami najbliższemi. Dlaczego więc o zewnętrznej szacie tych miejsc postanawia się pocichu, nie pokazując nawet projektów na widok publiczny, konspirując prace przygotowawcze i stawiając naród przed faktami dokonanemi?

Jeżeli srebrna trumna Marszałka, sklecona naprędce w chwili tragicznej konieczności, wyglądała — niema co ukrywać — jak tandetny kuferek i w sposób niedopuszczalny raziła na tle dostojności Wawelu, to da się to wytłomaczyć w tych tragicznych chwilach wyjątkowym pośpiechem i brakiem czasu na ogłoszenie konkursu, któryby wyłonił projekt odpowiedniejszy.

Ale teraz?

Rok blisko nosimy w sercach żałobę. Rok blisko ludzie, stanowiący Komitet, obmyślają formy zewnętrzne, jakie przybierze cmentarz na Rossie i sarkofag wawelski. Czy rezultaty artystyczne odpowiadają powadze i znaczeniu tego, co ma być zrobione?

Pisze w „Słowie" Cat, że roboty wileńskie mijają się najzupełniej z charakterem miejsca, że tworzą rażącą dysharmonję z otoczeniem, i zmieniają wygląd tego, co Marszałek widział i lubił.

Powiedział On: „Chcę spocząć na Rossie". A więc na Rossie, którą znał, na Rossie wileńskiej. Tymczasem zniesiono dawne kręte, wąskie, sentymentalne ulice, wysadzone drzewami, które ON znał, i na których słyszał jękliwe pogrzeby, słyszał jedyne pieśni, które na ulicach Wilna po polsku rozbrzmiewać mogły — pieśni pogrzebowe.

Oto wybudowano austrady, oto ścięto drzewa. Oto wybudowano grób, przypominający III akt Peer Gynta Ibsena w inscenizacji Szyllera. Tak uczczono pamięć Marszałka — w Jego ukochanem Wilnie.

Jak wynika z artykułu w „Słowie" — do pracy nad grobowcem Marszałka na Rossie zabrali się ludzie zapewne dobrej woli, ale nie odczuwający specyficznego charakteru Wilna, nie umiejący zatem tego nastroju zachować i uszanować. Prof. Bułhak, wielki artysta wileński, który to miasto i jego uroki zna i kocha, jak nikt inny, powiedział: *„Cała ta robota prowadzona jest pod kątem widzenia reprezentacji, nie urbanistyki"*. Patrząc na pozmieniane krzyże na grobach żołnierskich, Bułhak żywa się i mówi: „Dawne stare krzyże na mogiłach żołnierskich miały swą wymowę swym kształtem. Teraz poustawiano głazy bez wyrazu, koszarowo. Nikt nam nie pokazywał projektów. To się wszystko robi — w Warszawie. My głosu nie mamy, nie mamy prawa nic wiedzieć..."

Każdy przyzna, że rozgoryczenie znakomitego artysty wileńskiego ma swe uzasadnienie. Sprawy tej doniosłości nie można załatwiać kolegjalnie we dwuch czy trzech, — wymagają one zbiorowych rozważań, długiego przemyślenia, wysłuchania wielu opinji, a przedewszystkiem — *konkursu publicznego*. Jeżeli się udało zmienić brzydką trumnę Marszałka, to trudniej będzie z grobowcem już gotowym na Rossie, ze zburzonemi połaciami domów wileńskich i z wyciętemi drzewami. Wartoby zastanowić się nad tem w porę — i zmienić od podstaw *sam system stanowienia o tych rzeczach*.

Tembardziej, że grozi nowe niebezpieczeństwo. Oto ukazał się w niektórych pismach potworny projekt sarkofagu wawelskiego dla Marszałka, kompozycji Ostrowskiego. Wiemy, jaką energję potrafi rozwinąć ten nieszczególny rzeźbiarz, ale pełen pomysłów i uporu człowiek. Jemu zawdzięczamy jarmarczne malowanki na kamienicach Starego Miasta w stolicy. Jemu również — bezsensownie umieszczony *za ogonem konia księcia Poniatowskiego* — Grób Żołnierza Nieznanego.

Teraz grozi nam nowy wyczyn artystyczny, przed którym zawczasu należy się bronić. Projekt Ostrowskiego jest nieestetyczny, brak mu monumentalności, a białe orły i złote otwierające się pokrywy nie uratują ubóstwa jego walorów artystycznych.

Na sarkofag Marszałka musi być ogłoszony konkurs — i to nie konkurs fikcyjny w gronie rodzinnem, ale normalny, otwarty, dla wszystkich artystów polskich dostępny. Lepiej nawet poczekać parę lat na dzieło wielkie i odpowiednie, niż ustawiać na łapu-capu jeszcze jeden owoc nieudanych eksperymentów.

Nie wszyscy są ślepi.

„Jeśli Hitler będzie miał 4 miljony wozów, a my nasze 26 tysięcy grzechotów, to będziemy w stosunku do Hitlera nie w lepszem, lecz w gorszem położeniu, niż była Abisynja w stosunku do ekspedycyjnego korpusu włoskiego".

Kto to pisze? Gazeta Warszawska? Nie — to Cat w „Słowie" wileńskiem!

Ten sam Cat, który wyraźnie zawsze podkreślał swoje zadowolenie ze zbliężnia polsko-niemieckiego. Dziś, po rozdarciu przez Rzeszę Lokarneńskich „świstków papieru" i złamaniu Traktatu Wersalsikego — nawet Cat przeprowadza paralelę porównawczą, świadczącą, że patrzy **jasno** w możliwości jutra.

„Czy zwykłemu, dwustronnemu paktowi nieagresji, niczem zresztą realnem nie gwaranatowanemu, może w zupełności zaufać ktoś, kto na głowę nie upadł, lub nie pragnie planom hitleryzmu potajemnie się wysługiwać?"

Kto to pisze? — „Robotnik".

Okazuje się, że są sprawy w polityce zagranicznej, sprawy zupełnie dla istnienia Polski zasadnicze, o których jednakowo myślą i jednakowo przewidują

wszystkie odłamy naszego społeczeństwa. I prawica i lewica.

Tylko po trotuarach ulicy Wierzbowej chodzą panowie w monoklach i lakierkach, ze szczelnie zawiązanemi oczami...

My — i Europa.

Ogromnie dużo było gwaru i huku o te dwa miljony złotych, które pochłonęła Kolejka linowa na Kasprowy. Czy jest ona celowa, czy nie — to pokaże przyszłość. Czy jest deficytowa czy nie — zobaczymy też wkrótce zapewne.

Ale te 2 miljony nie dawały spać przeciwnikom.

Suma — śmieszna, mierząc kategorjami państwowemi.

Porównajmy.

W tych dniach zdecydowano sprawę przebicia tunelu pod Mont Blanc. Nie był napewno taki najniezbędniejszy, bo połączenia Włoch z Francją już istnieją i jakoś bez tunelu pod Mont Blanc można było wytrzymać.

Ale stać pana na fantazję. Więc 5 tysięcy robotników będzie miało pracę przez 6 lat. Wydatki przewiduje się w wysokości około 400 miljonów złotych. (Przekroczą napewno znacznie tę sumę — ale Francja jest bogata).

I jeszcze rewolucji o te 400 miljonów niema.

Różnica zamożności zapewne.

Ale i „nastawienia" również.

Parę cyfr.

Przyznać trzeba, że sprawa bolszewickiego numeru „Płomyka", skonfiskowanego na polecenie władz, ujawniła wiele pikantnych szczegółów z dziedziny życia szkoły polskiej.

Dzieciom *nakazuje się* prenumerowanie pisemka, które nie jest podręcznikiem. Nakazuje się — bo wydawcą pisemka jest Związek Nauczycielstwa. To trochę pachnie skandalem.

Pisemko zresztą jest prowadzone marnie. Między obecnym „Płomykiem" — a tym poprzednim, prowadzonym przez p. Porazińską i Radwanową, jest sto pięter różnicy w poziomie. Tłomaczy się to poczęści tem, że tamci ludzie byli ideowcami, pracującymi lata całe darmo, a potem za śmiesznie skromne pensyjki. Ambicją ich było nie napychanie własnych kieszeni, lecz podnoszenie pisma. I z niezwykłem powodzeniem ambicje swe urzeczywistniali.

Dziś — jest inaczej.

Jak wyszczególnia I.K.C., niejaki p. Machowski, rządzący z ramienia Związku w „Płomyku" — pobiera obok swej zwykłej głodowej nauczycielskiej pensyjki, *wynoszącej 245 złotych*, wcale ładne „dodatki" za prowadzenie „Płomyka". Więc honorarja autorskie wynoszą miesięcznie trzykrotną pensję „dygnitarza". A najdziwniejsza pozycja — prowizja ogłoszeniowa od cykorji — *wynosi czasem niemal do 2 tysięcy miesięcznie!*

Nauczyciel — redaktor — autor — i ogłoszeniowy akwizytor?

W piśmie nawet nieswojem, lecz związkowem, zarabia na ogłoszeniach?

W piśmie, które zamiast suchego chleba z solą, daje mu białą bułkę z masłem, pan „redaktor" musi sobie jeszcze „dorabiać" akwizją ogłoszeniową.

Wydaje się, że zaufanie nauczycielstwa polskiego dostało się w niezupełnie właściwe ręce. A może informacje I.K.C. są mylne? Z największem zaciekawieniem oczekujemy sprostowania *rzeczowego* w tej sprawie — i najchętniej je zamieścimy. Wyjaśnienie jej leży chyba na sercu całemu polskiemu stanowi nauczycielskiemu, godnemu szacunku i pracującemu w warunkach nieprawdopodobnie ciężkich.

Idealny dozorca

Wiemy, jaką plagą w Warszawie jest instytucja stróżów, zwanych licho wie dlaczego „dozorcami". Taki „anioł — dozorca" potrafi życie obrzydzić najcierpliwszemu obywatelowi. Kto raz postał przed bramą mały kwadransik na mrozie, wie jak to miło.



Tę bezsensowną średniowieczną instytucję zastąpią obecnie amerykanie idealnym robotem. Oto chcąc wejść do domu, naciśnie się guzik od bramy — i zostanie się wpuszczonym do pierwszej, „selekcyjnej" celki. Dalej dostać się można tylko wtedy, kiedy lokator danego mieszkania naciśnie guziczek od drzwi celki, i wpuści gościa na schody. Inaczej — musi jak niepyszny wracać skąd przyszedł.

Ale skąd lokator ma wiedzieć, z kim „ma okoliczność"?

Każdy wchodzący do celki zostaje automatycznie sfotografowany przez odpowiedni aparat. Rodzaj telewizji. Lokator ogląda sobie fizys gościa — decyduje, czy mu się ona podoba.

Komornik? — Precz.

Wierzyciel? — Precz.

Przyjaciel po pożyczkę? — Precz.

Poborca podatkowy? — Precz.

Żebrak, „wstydzący się żebrać" — ale tylko na ulicy?

Paniusia, zbierająca datki na „dożywianie biednych dzieci" i chowająca te datki do własnej kieszeni?

Fałszywy ksiądz w fałszywej sutannie, uprawiający fałszywą filantropję?

Sprzedawca tandetnych krawatów, mętnego atramentu, wypłowiałych perkalików, wydartych szczotek do podłogi, bezskutecznej maści na porost włosów? — Precz, precz, precz!

Wszyscy oni, obejrzeni zgóry przez lokatora — nie zostaną wcale wpuszczeni. W mieszkaniu zapanuje raj, błoga cisza, nastrój niezmąconej pogody. Każdy będzie mieszkał nareszcie u siebie.

Wartoby o takim „robocie" pomyśleć i w Warszawie.

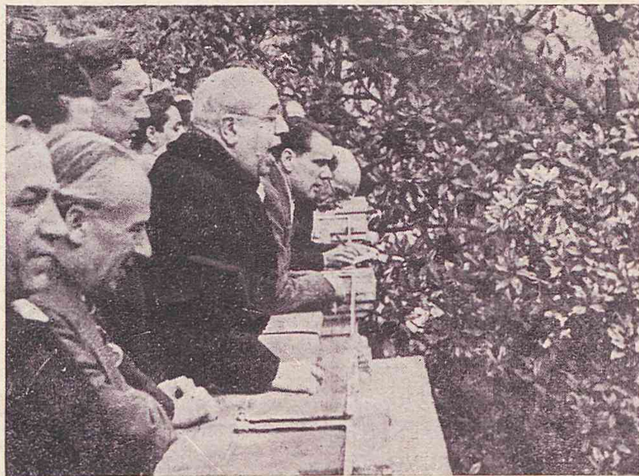
„Co wtedy będzie z „dozorcami" domowymi?" — zapytacie.

Trudno. Pójdą robić co innego. Naprzykład zamiatać ulice. Ważniejsza jest wygoda półtora miljona mieszkańców stolicy, niż kilku tysięcy aniołów opiekuńczych, prawem kaduka i moskiewską tradycją wglądających w nasze życie, rozrządzających się i panujących nam najłaskawiej, o ile ich odpowiednio „posmarujemy".

Uparty nurek.

SOWIETY W HISZPANJI

Wypędzony prezydent. 30,000 młodzieńców rewolucyjnych. Largo Caballero sięga po władzę siłą?



Prezydent gabinetu Azana przemawia na wiecu ludowym.

Zaburzenia w Hiszpanji „uwieńczone“ wypędzeniem prezydenta Zamorry zdemaskowały istotne oblicze hiszpańskiego frontu ludowego. Teraz dopiero, po niewczasie ex-prezydent Zamorra może na wygnaniu oddać się smutnym refleksjom, stwierdzając, że nie miał szczęśliwej ręki, rozwiązując poprzednie kortezy. Dawny monarchista i katolik Zamorra stał się pod wpływem wydarzeń oddanym i przekonanym republikaninem. Stał on się nawet bliższym radykałowi Lerroux i lewemu radykałowi Azanie, niż przywódcy katolików, Akcji ludowej, Gil Robles'owi. Do młodego przywódcy prawicy i katolików Zamorra żywił specjalną animozję. Jego to nie chciał dopuścić do premjerostwa. Jego zwalczał głównie. Dla uniemożliwienia zwycięstwa Gil Robles'a rozwiązał kortezy. Rezultat nie dał na siebie długo czekać. Zwycięstwo wyborcze frontu ludowego wyniosło na stanowisko prempera lewego radykała — Azanę. Ale już dziś Azana czuje się niepewnie.

Nad Hiszpanją, gdzie leje się krew, gdzie płoną kościoły, gdzie na placach publicznych niemal bez sądu giną pod toporem zaimprowizowanych katów przeciwnicy zwycięskich rewolucjonistów, ukazało się widmo sowieckich porządków, sowieckiego reżymu, dyktatury proletarjatu. I to tego proletarjatu, gdzie nie organizacje rządzą i decydują, ale sfanatyzowana ulica, ta nieodpowiedzialna ulica hiszpańska. Wczoraj pobożna, fanatycznie biczująca się w ekstazie katolickiej, dziś niosąca żagwie do kościołów, paląca dzieła sztuki, burząca klasztory, mordująca przeciwników politycznych.

Personalna nienawiść prezydenta Zamorry do Gil Robles'a— skrupiła się na nim samym. Pod gradem kamieni, przez szpaler gwardji, która odmówiła sprezentowania broni przed prezydentem, opuszczał Zamorra niesławnie rezydencję prezydencką.

Wyjeżdżał.

Uciekał.

Uciekał za granicę.

Dziś przebywa w okolicach Nicei.

Na jego fotelu prezydenckim zasiadł prowizorycznie prezes parlamentu: Martinez Barios. Wybory oficjalne odbyć się mają b. prędko—kandydatem frontu ludowego ma być Largo Caballero, wódz hiszpańskich socjalistów.

Zwycięstwo wyborcze „frontu ludowego“ otworzyło więzienia, gdzie wielu przywódców rewolucji odsiadywało poprzednie wyroki. Banita Azana stał się premjerem. Niedawny więzień — Largo Caballero — już temu premjerowi, wodzowi radykalizmu hiszpańskiego następuje na pięty. W Madryckiej Arenie zgromadził Caballero 30.000 młodzieży socjalistycznej i komunistycznej. Wiele tysięcy tych młodych rewolucjonistów było w mundurach partyjnych bojówek. W swej gwałtownej mowie Caballero ogłosił połączenie młodzieży socjalistycznej i komunistycznej, zapowiedział niedaleką unifikację obu stronnictw — powstanie potężnej partji marksistowskiej“. Mówiąc o programie nowego stronnictwa, Caballero nie krył rewolucyjnej prawdy pod korcem. „Nowe stronnictwo marksowskie, które powstaje w Hiszpanji — wołał Caballero — w krótkim czasie zrealizuje transformację reżymu na Republikę sowiecką“. Tłum rewolucyjnej młodzieży — oklaskami i okrzykami pokrywał bardziej płomienne zwroty przywódcy. Entuzjam był iście hiszpański. Wybuchy uznania zrywały się co chwila. Umundurowani młodzieńcy rośli w dumę i buntowniczą pewność siebie. Tłum huczał, areny grzmiały, zapowiedzi rewolucji jak race wzbijały się pod południowe niebo.

Aforyzmy Caballera były zupełnie niedwuznaczne. Takie zdania, jak: „ewolucja historyczna, jaka się odbywa w Hiszpanji, nie może być powstrzymana ani przez bagnety, ani przez mowy“; „żadna siła nie powstrzyma nas od pochwycenia władzy w państwie“. Te zdania wskazują najwyraźniej, że Largo Caballero, który zdystansował jednym susem wszystkich przywódców so-



Wiec młodzieży komunistycznej w Arenach Madrytu.

cjalistycznych, komunistycznych i anarchistycznych, zdecydowanie sięga po władzę.

Władzę tę może zdobyć tylko siłą!

Tylko akcja bezpośrednia, atak ulicy, partji, czy zamach stanu — mogą być jego narzędziami działania, bo w parlamencie, w kortezach jego stronnictwo, a nawet połączone stronnictwa rewolucyjne nie mają większości.

Pierwszy czyn rewolucyjny został już wykonany — wypędzono prezydenta republiki. Król Alfons XIII mógłby już rozegrać ze swym pogromcą Zamorrą partję pikiety. Kto wie, czy za parę tygodni nie uda mu się zorganizować partyjki bridża z republikańskimi przywódcami: Zamorrą, Lerroux, Azaną!

Wrogowie monarchji łatwo mogą stać się wszyscy banitami, gdyby Caballero spełnił swe rewolucyjne zapowiedzi.

Były prezydent Alcala Zamorra rozwiązał kortezy — konstytucyjnie miał prawo to uczynić. Ale „kolejne" z wyborów kortezy miały prawo orzec, czy to było potrzebne. Orzekły, że czyn ten był zbyteczny, że prezydent przekroczył swą władzę. Dalszy ciąg wiadomy. Zamorra wyemigrował — prezes parlamentu Barrios pełni funkcję prezydenta. Ale walka toczy się dalej. Dziś celem kanonady rewolucyjnej jest już Azana. Teraz zagadnienia upraszczają się. Dają się one sprowadzić do dwuch znaków zapytania. Pierwszy — to czy premjer Azana może liczyć na oddanie i poparcie armji.. Drugi — czy porozumie się on z Gil Robles'em dla wspólnej obrony reżymu.

Gdyby odpowiedzi były ujemne — w Hiszpanji wkrótce zobaczymy sowiety. A sowiety w Hiszpanji — to sowiety w Maroku hiszpańskim i Afryce północnej.

A to już jest nowa międzynarodowa komplikacja.

A JA SOBIE STOJĘ W KOLE...

Sąsiedzi nie śpią.

„La Revue Hebdomadaire" Jacques Maupas szczegółowo omawia potęgę niemieckiej propagandy. Ministerstwo oświaty i propagandy ma budżet 28,148 tysięcy marek, ale budżet propagandy jest starannie zamaskowany. W roku 1934 na propagandę prasową i radjową wydano 110 miljonów. Ale to nie wszystko. 50 miljonów wydano na *związki działające zagranicą!* Dwadzieścia miljonów na propagandową działalność „Gestapo" i 25 miljonów na t. zw. „Reptilienfonds" — „fundusz płazów" — sama nazwa mówi za siebie i za to *komu* się fundusze wypłaca. Z funduszów propagandy wydaje się *307 czasopism zagranicznych.* W samej Rumunji jest ich 50! Liczba agentów zagranicznych zamyka się skromnem *ma:* 2450 osób! Są to członkowie zagranicznej służby wywiadowczej Reichswehry — mają oni do pomocy... 20.000 informatorów płatnych po 500 marek miesięcznie. „Temps" uzupełnia dane „Revue Hebdomadaire". Fakty te wskazują jak aktywna, jakiemi środkami prowadzona jest na całym świecie olbrzymia propaganda niemiecka. Ta propaganda wielokrotnie przyczynia się do powodzenia dyplomacji niemieckiej. Ta propaganda, w której o poezji, muzyce, malarstwie niemieckiem niewiele się słyszy, w której Göethe, Schiller, Wagner czy Beethoven nie grają roli, świadczy najlepiej, że nie o swą duchową supremację, lecz o interesy imperjalizmu niemieckiego zabiega się w ten sposób i że wielokrotne tolerowanie przez świat niemieckiego widzimisię w znacznej mierze tej propagandzie można przypisać.

Z krainy marzeń.

Przysłano ziemianinowi katalog narzędzi rolniczych. Chwyta go chciwie i zaczyna studjować. (Trzeba wiedzieć, że dla prawdziwego rolnika taki katalog jest lekturą pasjonującą. O każdem narzędziu myśli mniej więcej równie namiętnie, jak piękna kobieta o kolji brylantowej).

Przegląda — i twarz mu się wydłuża.

Siewnik Westfalja — 1325 złotych.

Siewnik „Saxonia" — 2850 złotych.

Wypielacz „Saxonia" — 2160 złotych.

Kartoflarka — 1160 złotych.

Lokomobila — od 3250 do 6700 złotych.

Młocarnia parowa — od 2 do 7 tysięcy.

Skąd brać takie sumy?

Powiecie zapewne: to są narzędzia „luksusowe". Niech sobie sprawi tańsze. Ale przecież hasło postępu, wydajności, intensyfikacji gospodarczej każe starannie unikać piastowskiej drewnianej sochy...

A zamiast tygodniami sortować ręcznie kartofle przy współpracy kilkunastu gadatliwych i próżniaczych bab — prędzej, dokładniej i ekonomiczniej puścić te kartofle na sortownik i w kilkanaście godzin mieć zrobioną całą robotę.

Ba — tylko że taki sortownik kosztuje — 225 złotych. Wartość około stu korcy kartofli, jeśli brać pod uwagę ceny dalszych okolic kraju.

Rolnik zamyka katalog z ciężkiem westchnieniem.

Nie, jeszcze na te luksusy nie pora.

Jeszcze narzędzie rolnicze jest dla niego właśnie ową niedostępną... brylantową kolją.

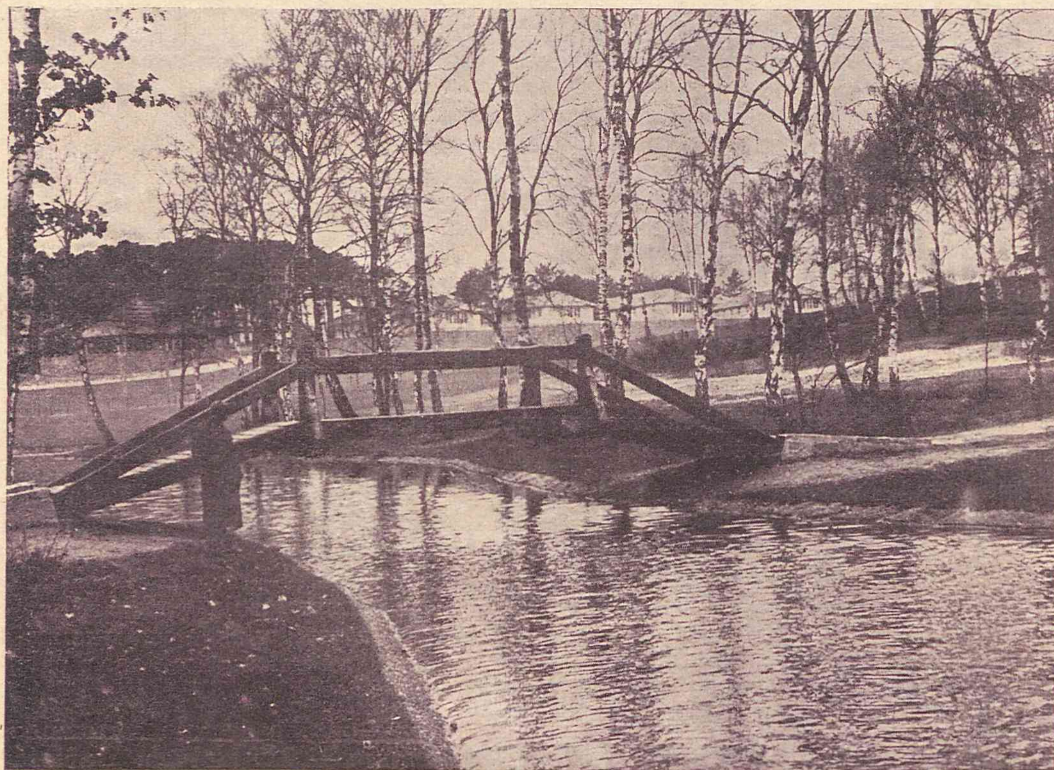
Marzeniem — ale ściętej głowy.

...I WYBIERAM TO, CO WOLĘ.

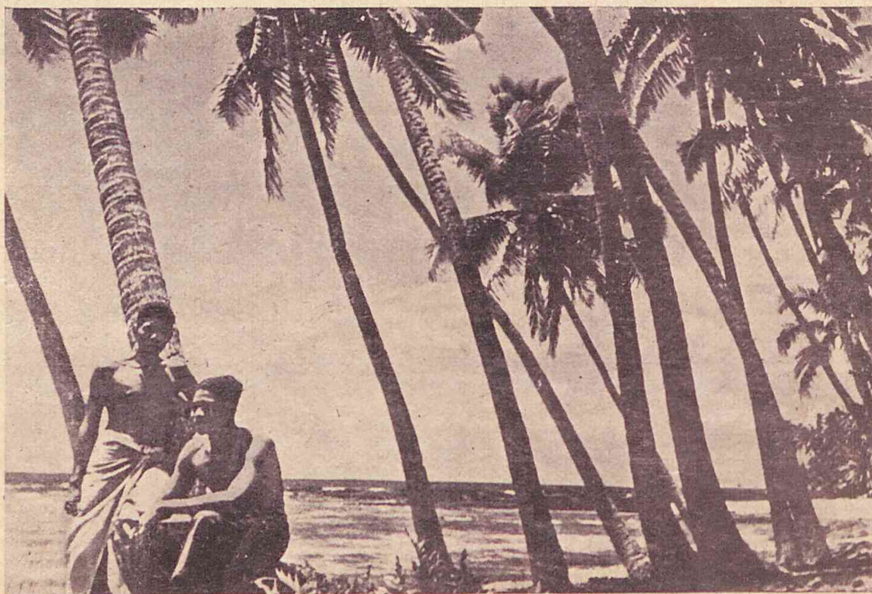
CZAR WIOSNY



W Paryżu, najbardziej uroczem mieście świata, wiosenna powódź kwiatów ma czar nie opisany.



Sielankowy fragment parku wiejskiego: młode brzozy nad strumieniem budzą się ze snu zimowego.



Pod zwrotnikami, daleko od mgieł Europy, szczęśliwi mieszkańcy Polinezji mają wieczną wiosnę, o charakterze dla nas egzotycznym i dziwnie pociągających.

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata“ otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta“, której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Personelowi technicznemu zwrócono uwagę, aby się o zmarłym z szacunkiem wyrażał i na tem się skończyło...

Tymczasem pani Kossacka teraz, jak dawniej o trzeciej i pół wraca z biura i jak dawniej zabiera się sama do gotowania obiadu. Tylko, że teraz już jej się nie chce obmyślać menu i nakrywać starannie do stołu. Poprawdzie to gdyby nie Marta, która do niej o tej porze na tę godzinkę wpada — możeby sobie nawet i tej szklanki herbaty nie zagotowała i nawet tego befsztyku nie usmażyła.

Na pierwszego zapłacono jej jak zwykle całą pensję i dano jej z Ubezpieczalni Społecznej jakieś tam odszkodowanie i mistrz Chłopski przyniósł jej jakieś tam pięć tysięcy, uzyskane ze sprzedaży kilku obrazów i kilkunastu szkiców.

Miała teraz dużo tych pieniędzy! Bardzo dużo! Tak dużo, jak nigdy! I nie wiedziała, co z temi pieniędzmi zrobić? Emilka już nie było i nie było na kogo tych pieniędzy wydać. Już nie potrzebowała iść na pocztę i nadać te pieniądze do Monachjum (na opłatę studjów Emilka). I nie potrzebowała już myśleć o leczeniu i odżywianiu intensywnem synka! „I nie potrzebowała iść do banków, aby regulować wekselki! I nie potrzebowała myśleć o tem, aby nadać te 50 złotych (pozostałe z pensji) na drobne wydatki...

Emilka już nie było i nie było na kogo wydać tych pieniędzy, których dobrzy ludzie naznosili jej dużo, tak bardzo dużo! Więc nie wiedziała, co ma z temi pieniędzmi zrobić? Mogłaby wprawdzie wydać te pieniądze na siebie. Kupić sobie palto z futrzanym kołnierzem, boty, parasol, suknię, z drogiej wełny, welon z porządnej georgetty. Mogłaby — ale nie umiała wydać na siebie.

I nie umiała nawet wyobrazić sobie, jakby to mogło być, naprzykład, by ktoś za 30 złotych miesięcznie za nią sprzątał mieszkanie, za nią ugotował, za nią pomył talerze? Dopiero Marta musiała pani Kossackiej wytłumaczyć, że taka Agatka jest bez pracy od dwóch miesięcy i z tej desperacji może sobie co złego zrobić! Więc trzeba ją ratować!

Naturalnie, że trzeba!

Więc zgodzi się od jutra tę Agatkę i zacznie ją odżywiać, bo z dziewczyny tylko skóra i kości pozostały! I zacznie ją ratować!

Marta teraz już wie, że jeżeli pani Kossacka zemdleje przy tym serdecznym pacierzu za duszę Ewila, to będzie ją miał kto ratować. I jeżeli wróci przeziębła z tego cmentarza w niedzielę po całodniowym na nim pobycie, to znajdzie gorące jedzenie na stole i starannie zasłane łóżko w sypialni.

Marta teraz już wie i jest trochę o panią Kossacką spokojniejsza.

„PRZYJECHAŁ“.

Marta zdaje sobie bardzo dobrze sprawę z tego, że ostatnio przybladła i zbrzydła... Pracuje przecież ponad siły, denerwuje się sprawą Emila i czasu poprostu nie ma na myślenie o sobie. Tymczasem za tydzień... Za tydzień ma już przyjechać Jurek...

Jurek...

Już wszystkie dzienniki zapowiedziały jego przyjazd na premjerę i już zawiązał się komitet, którego zadaniem będzie uroczyste przyjęcie „Wielkiej Narodowej Chwały“. Już Marta wie, że szykują się dla niego apartamenta w hotelu „Bristol“, że sala recepcyjna prowizorycznego dworca ma być przybrana odświętnie w dniu jego przyjazdu i że przewidziana jest możliwość wielkich konferencji ekonomiczno - artystycznych w związku ze spodziewanym jego przyjazdem!

Boże Drogi!... Co to będzie? Ah, móc tak zasnąć i obudzić się na drugi dzień po premjerze, po spotkaniu jego i po tem wszystkiem, co tak niepokoi i taką niepewnością przejmuje.

Z pracy Marty Jurek będzie zadowolony. Przypuszczalnie będzie zadowolony tak, jak zadowolony jest z niej dyrektor i reżyser, kiedy przed nimi ona staje w poplamionym kitlu malarskim, z notesem i ołówkiem w ręku. A więc z pracy jej Jurek przypuszczalnie będzie zadowolony, będzie nawet więcej zadowolony, niż z pracy dekoratorów paryskich

Ale co dalej? Co po za tem?

Pierwsze wrażenie wzrokowe? Czy nie wyda mu się Marta „starą panną“, która nie wyszła zamąż? Czy nie wyda mu się zapracowaną dekoratorką i wściekłą feministką, którą warto nazwać „koleżanką“, ale na którą niewarto patrzeć — jak na kobietę?

Jakąż to Martę kochał Jurek? Szesnastoletnią dziewczynkę o miękkim owalu, puszystej cerze i pączkującej urodzie... Jakąż to się zachwycał? Nieśmiałą, rumieniącą się, rozkochaną, niezaradną...

Więc teraz? Oh, teraz?... Jurek może znaleść kobietę „inną“, może więcej wartościową, ale... odbiegającą daleko od dawnej jego Marteczki, którą można było nazwać „Malutką“...

Marta denerwuje się. Ręce ma zniszczone od cynobru, kobaltu i kraplaku*), twarz niewyspaną, włosy zarośnięte na karku i nie strzyżone od wieków, suknie nieświeże, pantofle niemodne, kapelusze nieefektowne, rękawiczki pęknięte, pończochy niezacerowane od iks czasu.

*) Nazwy farb: cynober, cobalte, crapplack.

(D. c. n.).

ZE ZBIORÓW POPŁAWSKIEGO
W MUZEUM NARODOWEM



P. P. Rubens (ur. 1577, zm. 1640) Szkoła flamandzka.
Chrystus upadający pod krzyżem.
(Szkic do wielkiego obrazu, mal. na drzewie).



Pseudo van de Venne (Szkoła holenderska XVII w.) „Tabor cygański".



Giovanni Battista Crespi, zw. Cerano ur. 1557, zm. 1633. (Szkoła lombardzka).
„Chrystus i samarytanka".



Sebastien Bourdon ur. 1616, zm. 1671 (szkoła francuska) „Rodzina żebraków wśród ruin".



Egbert van der Poel ur. 1621 zm. 1664 (Szkoła holenderska) „Pożar miasta"

ŻYCIE W KOLORACH

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści W. Bunikiewicza „Życie w kolorach", której druk rozpoczęliśmy w październiku.

Za dwa dni miała odbyć się rozprawa, a wynik jej nie budził wątpliwości. W sali szpitalnej nie rozprawialiśmy o niczem innem, jak o tragicznym splocie wydarzeń, którego ofiarą padał nieszczęśliwy człowiek!

Strzelbicky milczał, a straszliwe to było milczenie. Tak milczą ludzie,którzy nie mają już nic do powiedzenia światu i podkreślili rachunek swego życia.

Przytłaczającą atmosferę żalu, zwątpienia i bezsilnej wściekłości przerwał nagle stukot kilkunastu par nóg na korytarzu i przerażony głos służby szpitalnej:

— Generał przyszedł na kontrolę, chorzy do łóżek, niech nikt nie zapomina, co go boli, gasić papierosy i chować karty, alkohol do kuferków!

Do sali wszedł generał von Lichtenfeld Shatorkaza Dubrowsky.

Piersi jego świeciły orderami i medalami, wśród których widniała odznaka legjonów polskich. przypięta na samem sercu.

Za generałem postępował Władek, udekorowany również, jak choinka na Boże Narodzenie.

Na kołnierzu Władka błyszczały kapitańskie gwiazdy, które uzyskał za szczególne zasługi, a wysokiej klasy ordery generała i adjutanta budziły przekonanie, iż są to dwa lwy niepokonane, nieśmiertelnie zasłużone ojczyźnie.

Istotnie. Lichtenfelda Shatorkazę Dubrowsky'-ego za wybitne czyny wojenne, przypieczętowane krwią i raną, mianowano generałem i naczelnym inspektorem wszystkich szpitali w monarchji.

Władek dojrzał mą twarz i, łamiąc etykietę służbowych odwiedzin, rzucił mi się na szyję.

Poznał mnie również dawny pułkownik i szczerze uradowany ze spotkania, potrząsnął obie dłonie, powtarzając zapamiętale:

— Servus, Grüss Gott, comment s'a va?

Dowiedziawszy się zaś, że nie mam ani tyfusu, ani cholery, rozsiadł się wygodnie na krześle obok łóżka.

— Mon cher, sam Majèsté płakał rzewnemi łzami z radości i dumy, że ma takich żołnierzy, którzy niedozwolili nieprzyjacielowi wystrzelać w Karpatach wszystkich jeleni i wstrzymali natarcie.

— Mon cher, wszyscy jeszcze otrzymamy szczególne wyróżnienie za obronę Karpat, sam nawet przedłożyłem pomysł nowego orderu.

Ekscelencja wplątywał często do rozmowy słowa francuskie, wyrażał się z dużą obojętnością o Prusakach, a dla narodów słowiańskich zdradzał sympatję, szczególnemi zaś względami otaczał Polaków.

Wedle spostrzeżeń Władka była w tem pewna metoda.

Ilekroć Niemców i Austrjaków spotykały niepowodzenia, książę rozpoczynał rozmowę po francusku, skoro zaś chwiała się Francja, rozprawiał z zachwytem o Wiedniu i cesarzu.

W tej zaś chwili, gdy ekscelencja zjawił się w szpitalu, Niemcy prowadzili ofensywę na Verdun. Furja napadu równała się zaciekłości obrony. Nic więc dziwnego, że książę okazywał chwiejność w sympatjach, ograniczając się jedynie do wspomnień pułkowych i bohaterskich przeżyć.

— I kapitan von Powała Strzelbicky jest tutaj, rzekłem ukazując bladą twarz kolegi, pogrążonego w kamiennej obojętności.

— Ach, lieber Strzelbicky, mon cher ami, a to się ucieszy moja żona, gdy doniosę jej o tem.

Wstrzymałem gestem księcia i począłem mu wykładać straszną historję kapitana, prosząc o pomoc dla nieszczęśliwego.

Von Lichtenfeld Shatorhaza Dubrowsky, wbrew swemu zwyczajowi, słuchał uważnie, a gdy wspomniałem o sądzie, zerwał się, jak oparzony z miejsca i nie tając oburzenia, zawołał:

— Głupcy, banda idjotów, przyprowadzę ich do rozumu, mój biedny kapitan...

Długi orszak oficerów szpitalnych z profesorem na czele dygotał ze strachu, a książę biegał po sali, wyrzucając z gardła coraz soczystsze dźwięki.

Wreszcie zatrzymał się przed Władkiem...

— Jak rozpędzić tę zgraję?

— Jego Książęca Wysokość zechce zgłosić się do sądu, aby wydać opinję o Strzelbicky'm. Takie zdanie zaważy.

— Ja mam iść? Natychmiast dostawić mi żandarmskiego pułkownika, sędziego pisarza, gryzipiórków...

Natychmiast, natychmiast! — wrzeszczał ekscelencja.

Władek pisał już rozkaz na służbowym bloku, a przerażony profesor osobiście wysyłał posłańców.

W dwa dni potem kapitan Powała Strzelbicky odjeżdżał samochodem księcia na rozprawę sądową.

(D. c. n.).

WŁ. ŁUKASIK.

DROBIAZGI WYTWORNE

Niedawno odbył się tani tydzień książki.

Zachęcony niskiemi cenami wszedłem do księgarni i po długich poszukiwaniach wybrałem kilkanaście tomów. M. in. kupiłem komplet dzieł Moljera, „Króla Ducha" Słowackiego, „Dziady" Mickiewicza, oraz dwie książki do czytania.

Pewien pan był tak rozrzutny, że ilekroć kupował na dworcu bilet peronowy, to zawsze żądał pierwszej klasy.

Zagadka ormiańska.

Co to jest: jeździ się na tem, okrywa się i można to kopać?

Rower, pled i piłka.

— Żal mi go, że tak nisko upadł, powiedział robotnik, patrząc na swego pomocnika, który spadł z czteropiętrowego rusztowania na ziemię.

Pewien izraelita zawsze rozmawiał podczas pływania, bowiem wtedy właśnie lepiej ruszał rękami.

Warunek małżeńskiego szczęścia: Synek qua non.

Spotkałem kiedyś w Saskim Ogrodzie jakąś kobietę, prowadzącą za rękę małego bladego chłopczyka.

Zainteresowany wyglądem malca, zapytałem:

— Ile ma lat?

— Il est malade, potwierdziła kobieta.

Ze słowniczka sportowego: hand - buch — uderzenie ręką (scil. w szczękę).

Dewiza bywalców kawiarnianych: snoblesse oblige.

Kozetka w pewnej dyskretnej ubikacji: klozetka.

— Przyrzeknij mi, Agnieszko, że będziesz mnie tak karmić przez całe życie, rzekł siedmiomiesięczny chłopczyk do mamki.

Czysty kalambur bez możliwości praktycznego zastosowania: Satyr i limfa.

Wyjątek z powieści: Gryzelda ugięła się pod ciosem, nie upadła jednak na duchu, bowiem rycerski młodzian szybko pochwycił ją wpół.

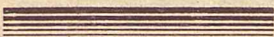
Autentyczna zapowiedź speaker'a, wygłoszona przed mikrofonem Polskiego Radja:

— A teraz, proszę państwa, nadamy „Poranek" Leona Kawallo.

Marzenie kalamburzysty: gdyby znakomity czeski komik — Burian występował w teatrze Andrzeja Własta, możnaby powiedzieć — Własta Burian.

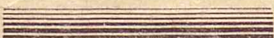
200.000 na Fundusz Szkolnictwa

Tegoroczny plon akcji zbiórkowej na rzecz Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą nie jest jeszcze ostatecznie wiadomy. Do biura Zarządu Funduszu napływają codzień nowe listy składkowe, na które prowadzona była zbiórka w całym kraju. Toteż ogólna suma składek rośnie z dnia na dzień w szybkiem tempie. W dniu 24 b. m. suma ta przekroczyła już 200 tysięcy złotych. Niewątpliwie najbliższe tygodnie przyniosą dalszy wzrost zebranej kwoty, która dowiedzie, iż cel tegorocznej zbiórki, przeprowadzonej pod hasłem „Zbieramy trzeci miljon", został w pełni osiągnięty. Łącznie bowiem z latami poprzedniemi zebrano już na szkoły polskie zagranicą imponującą sumę 2.470.000 złotych, która świadczy o dużem zrozumieniu, jakie znajduje w całem naszem społeczeństwie akcja Funduszu Szkolnictwa Polskiego Zagranicą.





Wiosna tegoroczna jest pełna niespodzianek. Po tygodniu wyjątkowego ciepła w marcu, przyszły kwietniowe przymrozki i śniegi. Przezorne drzewa nie spieszą się z rozwinięciem liści, obnażone gałęzie czekają, czekają na... słońce i pogodę.



ŚWIAT TEATRU

Teatr Polski: „Rodzina Massoubre" sztuka w 3-ch aktach (10-u obrazach) Jacques Devala. Reżyserja L. Schillera. Przekład Marji Serkowskiej. Dekoracje T. Roszkowskiej, M. Sigmunta i W. Ujejskiego.

Do serji sztuk, gdzie życie bohatera rozwija się przed nami na taśmie „od kolebki aż do grobu" przybył nam utwór Devala. Tu akcja zaczyna się jeszcze przed urodzeniem bohatera. Najbliższa rodzina „oczekuje" przybycia noworodka, wreszcie w trzy godziny po ewenemencie zaczyna się gromadzić. Od pierwszej chwili odsłaniają się „szlachetne" instynkty tych zamożnych mieszczan francuskich. Nowoprzybyła mamka już w pięć minut po zjawieniu się jest atakowana przez szczęśliwego ojca, w dziesięć minut później taki sam atak powtarza jego brat — przyjemny stryjek nowonarodzonego. Po kwadransie obaj bracia skaczą sobie do oczu. Najpierw o mamkę — później o kwestje finansowe. Jeszcze chwila, a zdaje się, że policzki będą klaskać, że ktoś kogoś chwyci za gardło. W tym nastroju upływa mniej więcej połowa sztuki. Druga połowa, to mniej lub więcej udane tokowisko zmysłów. Karcący naturalizm Devala nie jest, ani fotografją, ani satyrą w stosunku do burżuazji francuskiej. Niema w nim przekonywujących akcentów, ani ponurej dramatyczności, jakie spotykamy, np. w „Krukach" Becque'a. Talent Devala, jego umiejętność wypowiadania się na scenie, plastyczność akcji sprawiają, że poszczególne sceny mogą nas nawet zainteresować. Ale to za mało, aby tasiemiec 10-o obrazowy mógł nie być nienużący i wielokrotnie banalnie płytki. Jaskrawe brutalności nie są wywołane jakąś wyższą siłą przestępczości. Niema w nich siły, nakazu wewnętrznego. Ot, zwykły rzezimieszek życiowy — przeniesiony na fotel wielkiego przemysłowca, demaskuje nam swoje pożądania, swą chęć użycia, swe bezwzględne podporządkowanie życia, wierzeń, zainteresowań — mniej czy więcej pełnemu portfelowi.



Macherska, Chmielewski i Buszyński.



Junosza-Stępowski i Buszyński.



Wasiutyńska i Junosza-Stępowski.

Fot. St. Brzozowski.

„Zimny drań" Massoubre — niema w sobie polotu, grasuje w pewnem kole podobnie małych indywiduów — w rezultacie taśma rodzinna rodzinnych świństw nuży, zamiast oburzać, przerażać, czy wywoływać reakcję sprzeciwu. A przytem niektóre sceny w swej płytkiej sentymentalności są banalne i naiwnością swej symboliki stoją na poziomie pierwocin literackich noworodków poetyckich.

Sztukę Devala wystawił Schiller ze zwykłym swym pietyzmem i sumiennością. To jej właśnie zaszkodziło. W tempie kalejdoskopowych wydarzeń przełknęlibyśmy wiele banalności i komunałów łatwiej, a sytuacje i powiedzenia ciekawe, lepiej utrwaliłyby się i uwypukliły.

Zagrana „Rodzina Massoubre" w tempie przeżywania — nie dała nam tych przeżyć. Artyści naogół pracowali sumiennie i z dużym nakładem sił.

Junosza-Stępowski, Buszyński, Kuncewiczówna, Wasiutyńska, Macherska, Chmielewski w pierwszym rzędzie dali z siebie maximum wysiłku.

L.

Ś. P.
JAN BOLECHOWSKI

Inżynier-technolog

Dyrektor Biura Sprzedaży Zjednoczonych Odlewni Polskich „RUROPOL"

W dniu 9 kwietnia rodzina wraz z najbliższem gronem przyjaciół odprowadzili zwłoki przedwcześnie zmarłego dyrektora i założyciela Biura Sprzedaży Zjednoczonych Odlewni Polskich „Ruropol", ś. p. Jana Bolechowskiego, inżyniera - technologa, na miejsce wiecznego spoczynku.



Ś. p. Jan Bolechowski urodził się dn. 30 stycznia 1871 r. w Zagłębiu Dąbrowskiem.

Po ukończeniu w r. 1889 gimnazjum w Częstochowie, wstępuje na wydział matematyczno-fizyczny Uniwersytetu w Petersburgu, przechodząc następnie do Instytutu Technologicznego, który kończy w roku 1896 z tytułem inżyniera-technologa.

Karjerę swą rozpoczyna na ziemi rodzinnej, jako inżynier w Hucie Bankowej, skąd, początkowo zostaje zaangażowany do fabryki maszyn w Riazaniu (Rosja) i w bardzo krótkim czasie przenosi się do znanych na południu Rosji zakładów Dnieprowskich w Kamienskoje, przechodząc wszystkie stopnie, poczynając od inżyniera w biurze technicznem, kierownika walcowni żelaza, następnie — vicedyrektora tychże Zakładów.

Po przewrocie bolszewickim w 1918 roku wraca do kraju i obejmuje początkowo stanowisko w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, departamencie górniczo-hutniczym. Następnie zostaje zaangażowany na szefa biura technicznego przy głównym Zarządzie Starachowickich Zakładów Górniczych w Warszawie.

Te stanowiska jednak nie odpowiadają Jego przedsiębiorczemu duchowi i w roku 1924 organizuje Centralne Biuro Sprzedaży Rur Zjednoczonych Odlewni Polskich, łącząc w niem pierwszorzędne fabryki, pracujące w tej dziedzinie, stając na czele jako główny dyrektor.

Na tem stanowisku pracuje do ostatniej chwili życia Swego ku pożytkowi nietylko Zjednoczonych Fabryk, lecz również pożytkowi wielu zakładów wodociągowych i gazowni miejskich.

Dobry obywatel kraju, gorący patrjota, a przedewszystkiem cichy i obowiązkowy pracownik, oddany umiłowanemu przemysłowi, niekłamany przyjaciel, kolega i współtowarzysz, pozostawił po Sobie żal śród tych, co obcowali z Nim i pracowali wspólnie i dla których, jak i dla Niego, wszystkiem były: praca, obowiązek i czyn.

Zgasł na stanowisku.

Cześć Jego pamięci! *L. P.*

ATRAKCJA „ADRJI"



W programie „Adrji", zawsze świetnym, niewątpliwie największą atrakcją jest jej dyrektor p. Moszkowicz, który tym razem prezentuje się nam w stroju... „huculskim".

„PRZEZ 7 MÓRZ"

Wszyscy lubimy podróżować komfortowym statkiem po dalekich morzach, oglądać zamorskie kraje, cieszyć się słońcem i beztroskim wypoczynkiem w czasie morskich wycieczek. Warto więc zawczasu zarezerwować sobie wygodną kabinę na S/S Kościuszko, który w dniu 12 czerwca wyruszy z Konstanzy na wycieczkę pod hasłem „Przez 7 Mórz". Statek zatrzyma się w Stambule, w Pireus, porcie ateńskim, w porcie Valetta na Malcie, w Algierze, Tangerze, w Santander, Antwerpji a w dniu 3 lipca przybędzie do Gdyni. Długość trasy wyniesie 4379 mil morskich (8114 km.) czas trwania wycieczki wyniesie prawie 21 dni.

Ceny uczestnictwa w wycieczce już od zł. 400. Zapisy już przyjmują wszystkie placówki Orbisu.

KRONIKA LITERACKA

Rimbaud w Abisynji

W momencie, kiedy wojna włosko-abisyńska dobiega końca, kiedy Abisynją interesują się wszyscy warto przypomnieć, że jednym z pierwszych Europejczyków, których pobyt w Abisynji przeszedł do historji tego kraju, był poeta, Artur Rimbaud, który jak meteor zabłysnął swym wspaniałym talentem, ale w wieku niespełna lat dwudziestu zaniechał karjery pisarskiej. Reszta jego żywota mało stosunkowo jest znana. Otóż Humphrey Hare w wiosennym numerze *Life and Letters To — day* poświęcił ciekawy artykuł ostatnim jedenastu latom życia Artura Rimbaud, spędzonym w Abisynji.

Rimbaud przybył do Adenu w sierpniu 1880 roku i został urzędnikiem firmy Mazeran, Viannay, Bardie & Cie, handlującej kawą, kością słoniową, skórami i innemi towarami egzotycznemi. W listopadzie firma wysłała go w charakterze agenta do Harraru. -- Od tej chwili Rimbaud handlował wyżej wymienionemi towarami w imieniu tej czy innej firmy (później samego Bardey'a, a wreszcie Cezara Tian'a), pracował w biurach owych przedsiębiorstw, przewoził transporty Remingtonów sprowadzone dla Menelika z Europy, czynił wyprawy wgłąb kraju i pisał o swych podróżach naukowe raporty. W handlu wykazywał, jak świadczy podróżnik Jules Borelli, znaczne szczęście do tranzakcyj, niebywałą znajomość djalektów afrykańskich, (którą zawdzięczał podobno utrzymywanemu przez siebie haremowi kobiet z różnych plemion) i dużą umiejętność postępowania z krajowcami. Nie zrobił jednak pieniędzy, mimo że wciąż marzył o poważnem i przynoszącem duże dochody stanowisku. Handel nie toczył się w owym okresie zbyt pomyślnie z powodu wojen (egipsko-abisyńskiej i włosko - abisyńskiej), tak że zdarzało się, iż firmy, dla których Rimbaud pracował, bankrutowały. Toteż podczas wojny włosko-abisyńskiej zabiegał on o lukratywniejsze stanowisko korespondenta pism francuskich z terenu walki, ale tego nie udało mu się uzyskać.

W rzeczywistości, jak słusznie stwierdza Humpshrey Hare, rezultaty naukowe podróży Rimbaud'a były znacznie większe od jego osobistych korzyści. Oto naprzykład Rimbaud był pierwszym Europejczykiem, który przebył drogę z Harraru do Bubassy. W tym samym roku 1883 Rimbaud wyruszył wdół rzeki Errer, dochodząc do Webi - Shibeli, a potem zapuścił się wgłąb prowincji Ogaden, która była do tego czasu zupełnie nieznana. Towarzysz Rimbauda, Grek, nazwiskiem Sottiro, dotarł jakoby jeszcze dalej, aż do Galladura, gdzie go schwytali tubylcy. W grudniu 1883 roku Rimbaud napisał o tych wyprawach raport do Société de Géographie. Artykuły o dalszych podróżach, wysłane później do Francji, zaginęły z wyjątkiem jednego, wydrukowanego również przez to samo towarzystwo.

Ale najważniejszą bodaj ekspedycją Rimbaud'a, a przynajmniej tą, która dla samej Abisynji miała największe znaczenie, była inauguracja drogi, która stała się zczasem główną arterją abisyńską i wzdłuż której zaprowadzono później kolej żelazną. Wyprawy tej dokonali Rimbaud wraz z podróżnikiem Juljuszem Borelli w roku 1887, poszedłszy śladem zwycięskich wojsk Menelika w wojnie z Egiptem.

Rimbaud, prowadzący to kupieckie i podróżnicze życie, jest zupełnie innym człowiekiem od Rimbaud'a poety, czy autora „Une Saison en Enfer". Najlepszym dokumentem są jego nieliczne listy z tego okresu.

Początkowo są to listy business-man'a", zajętego odpowiedniem ulokowaniem swych oszczędności, a jeśli wspominającego o książkach, to tylko o geograficznych i naukowych, które kazał sobie przesyłać z Europy.

Ale z biegiem czasu w tych suchych, traktujących o interesach listach zaczyna coraz częściej przebijać nuta rozpaczy. O ile ich autor coraz bardziej nienawidzi klimatu i „sposobów życia" europejskich, o tyle coraz bardziej zaczyna mu dokuczać samotność, coraz bardziej żałuje, że nie ma rodziny, a przynajmniej jednego syna — „un fils que je passe le reste de ma vie à elever'a mon idée, a orner de l'instruction la plus compléte qu'on puisse atteindre à cette époque et que je voie devenir un hemme puissant et riche par la science". Coraz bardziej Rimbaud zaczyna utyskiwać na swą egzystencję. ...„les annés se passent, je mène une existence stupide...." „On mène ici l'existence la plus atroce du monde"...

Oprócz wymienionych działalności Rimbaud'a miał on jeszcze moc innych projektów nowych wypraw i tranzakcyj. Ale albo zostały one wypaczone przez rzeczywistość, albo doszczętnie spełzły na niczem. Dlatego to w r. 1888 znajdujemy Rimbaud'a zpowrotem zainstalowanego w Harrarze i cierpiącego samotność i nudy. — Harrar opuszcza on dopiero w marcu 1891 r., opuszcza go na noszach, udając się do Adenu w poszukiwaniu pomocy lekarskiej. W lutym już Rimbaud skarżył się na „une varice au dessus du jarret". Noga zaczęła puchnąć w kolanie, a leżenie nie zdawało się przynosić żadnej ulgi. Ponieważ uderzenie o drzewo w czasie jazdy konnej spowodowało znaczne pogorszenie, Rimbaud zdecydo-

wał się zasięgnąć rady doktora. Angielski lekarz w Adenie nie umiał mu poradzić i wysłał go z potwornie spuchniętą nogą do Marsylji. Tam Rimbaud podległ amputacji nogi. Z końcem lipca był w Roche. Cierpienia fizyczne spadały nań jedne po drugich. Prawe ramię miał sparaliżowane i nietylko że nie mógł chodzić o kulach, ale nawet jazda powozem sprawiała mu bóle niedoznieśienia. Mimo to w końcu sierpnia wyruszył znowu z Roche do Marsylji. W tej ostatniej podróży towarzyszyła mu jego siostra, Izabella, która zostawiła prawdziwie tragiczne wspomnienie tych chwil p. t. „Le Dernier Voyage de Rimbaud". Większość czasu, spędzonego poraz wtóry w szpitalu de la Conception, Rimbaud był nieprzytomny. Ale Izabella, gorliwa katoliczka, za trudy pielęgnowania go doświadczyła zapłaty w tem, że brat jej umarł pojednany z Bogiem. Rimbaud do ostatniej chwili żywił jedno pragnienie: marzył o powrocie na wschód, do słońca. W wilję śmierci, 9 listopada, dyktował w malignie list do jakiegoś nieistniejącego towarzystwa okrętowego, ustalający, kiedy ma być przeniesiony na pokład.

Listy Letycji Bonaparte

Piero Misciattelli wydał w Medjolanie zbiór istniejących listów matki Napoleona. (Lettere di Letizia Bounaparte, A cura di Piero Misciattelli). Z 268 listów zawartych w tym tomie, z których wszystkie prawie były dyktowane przez matkę Cesarza Francuzów, 113 ukazało się w druku poraz pierwszy. Część z nich była ofiarowana przez cesarzową Eugenję hrabiemu Primoli, skąd potem dostała się do Muzeo Napoleonico w Rzymie, inne znajdują się w posiadaniu barona Beauverger w Paryżu.

Całokształt listów przedstawia nam Letycję Bonaparte jako troskliwą matkę i babkę, biorącą żywy udział w radościach i smutkach swej licznej rodziny. Ale nietylko cieszyć się i smucić wraz ze swymi dziećmi i wnukami umie matka Napoleona. Potrafi ona także radzić i gromić, wykazując duży rozum życiowy i bystrą orjentację polityczną, np. kiedy wątpi w szczerość awansów Lafayette'a czynionych Józefowi Bonaparte w okresie Rewolucji Lipcowej. W listach zaś do sprzymierzonych monarchów i osobistości zagranicznych występuje jako umiejętna propagatorka legendy napoleońskiej. W innych jeszcze listach „Madame Mère" wznosi się do heroicznej postawy matki cesarzy i królów, naprzykład, kiedy nie chce prosić monarchji Orleańskiej o wyłpacanie sum, przyznanych wygnanym Bonapartom przez Traktat w Fontainebleau. „Honor — pisze ona do byłej królowej Hortensji—powinien zawsze mieć pierwszeństwo przed pieniędzmi... Jeśli nie możemy żyć po królewsku, żyjmy zacnie jako osoby prywatne, nie wystawiając się na upokorzenia, ani na wyrzuty własnego sumienia".

Książka ozdobiona jest portretem tej niepospolitej kobiety z r. 1835, litografowanym wg. akwareli pendzla Charlotte'y, córki Józefa Bonaparte. *L. Buyno.*

SŁUCHAMY PŁYT

Francuska firma „Gramophone" po wspaniałym odtworzeniu IX Symfonji Beethowena, wzbogaciła repertuar znawców, nagrywając I akt „Walkirji" Wagnera. Na 8 wielkich płytach (D. B. 2636 — 2643), słynny Bruno Walter dyryguje również słynną orkiestrą Filharmonji Wiedeńskiej. Lotta Lechman odtwarza rolę Ziglindy, Melchior — Zygmunta, a Emanuel List — Hundinga. (Ta obsada zupełnie wystarcza, aby wyciągnąć ostatni grosz i zrujnować się na to arcydzieło).

Orkiestrze bez żadnych zastrzeżeń należą się same słowa uznania. Czystość brzmienia „sola" poszczególnych instrumentów jest niezrównana. Piękno unisonów, bogactwo akordów, jasność w konstrukcji, potęga i siła bez ciena brutalności w momentach najwyższego napięcia, pełnia poezji i słodyczy, szczerość i głębia uczucia nie pozostawiają nic do życzenia.

Nagrano prawdopodobnie w wielkiej i pustej sali, stąd specjalny rezonas, jaki zwykle zjawia się w kościele. Zasadniczo wpływa to na pełniejsze brzmienie, à la longue jednak nuży, zwłaszcza w partjach głosowych. Troje wykonawców należy do najlepszych śpiewaków doby dzisiejszej. To też głos, umiejętność, inteligencja i ekspresja nie mogą podlegać żadnej krytyce. Wagner w postaciach Ziglindy i Zygmunta stworzył symbol świeżości, młodości i wdzięku. Czyż inne głosy, najlepiej postawione, umiejące władać tym darem, pozbawione jednak aksamitu, ciepła i srebra wzbudzą w nas obraz wiecznej młodości?

Artyści śpiewają po niemiecku. Jest to zupełnie słuszne, gdyż każda pieśń, opera czy inny utwór powinien być odtwarzany w języku rodzimym, w jakim został pomyślany przez autora. Z drugiej strony dla lepszego zrozumienia i wczucia się w istotę dzieła, tekst powinien być tłumaczony na inne języki i dołączany do płyt.

Również w płytach „Gramophone" orkiestra Filadelfijska nagrała śliczną suitę baletową Czajkowskiego „Dziadek do orzechów". Stokowski dyryguje z właściwym sobie rozmachem i przejęciem. Każdy z 8 obrazów odmalowany jest po mistrzowsku, rytmika tak wiernie oddana, że nieustannie ma się przed oczami postać tancerki lub zespołu, wyobrażające daną akcję. *H.*

SUSE V. HOERNER-HEINTZE.

INA A UCZCIWOŚĆ

(n o w e l a)

Ta prawdziwa historja rozpoczyna się sprzeczką między Iną a Olgą.

Stoją obie w przedpokoju, przy drzwiach swych umeblowanych pokojów. Olga wygląda w tej chwili, jak guwernantka z zamierzchłych czasów. Co do Iny, to trudno powiedzieć, czy jest ładna, czy nie. Ale przykuwają uwagę jej ruchy, a te doprawdy są niezwykle piękne.

„Jesteś szalona!" — mówi Olga.

„Ach, ty zawsze musisz zepsuć mi humor. Ale ja muszę być w styczniu w Rzymie — i będę!"

„A masz za co?".

„Nie mam".

„W takim razie jesteś szalona" — powiada Olga i odwraca się. Ale Ina już jest przy niej. Zarzuca jej ręce na szyję i szepcze: „Przecież go kocham!"

„Pięknie. O tem wiem oddawna".

„Ale teraz to i on mnie kocha".

„Hm. Czy dopiero w Rzymie o tem zadecydował?"

„Żebyś wiedział, dopiero w Rzymie. Jest przecież filologiem, więc to trwało dość długo. Ale za to list ma aż 14 stron!".

Ina kładzie rękę na sercu, gdzie list szeleści pod bluzką. Olga nie wygląda już jak guwernantka. Uśmiecha się i gładzi włosy Iny:

„Idź spać, mała. A jutro przelicz jeszcze raz te 3 złote i 70 groszy, które muszą wystarczyć aż do pierwszego.

Następnego ranka biegnie Ina przez ulicę. Sama nie wie, dokąd. Byle tylko nie siedzieć w małym pokoiku i nie myśleć. To nie ma sensu. Chcąc pojechać do Rzymu, trzeba przedewszystkiem udać się do biura podróży. Ale na co zda się biuro podróży, skoro niema pieniędzy? — Tak powiedziałaby Olga. Ale nie Ina. Ina poprostu myśli: m u s z ę?

Oto afisze biura podróży — okręty, palmy i ogniem ziejące góry. To najbardziej niebezpieczne biuro w całem mieście! Ina nie myśli o niczem, o nic nie pyta, widzi tylko oszklone drzwi, otwiera je z rozmachem i — wpada na jakiegoś starego pana.

A gdy stary pan rozciera kolano, mrucząc coś pocichu, Ina schylona zbiera wszystko, co mu upadło: teczkę, okulary, laskę. Zajeżdża samochód, stary pan mało ma czasu, kłania się z uśmiechem i odjeżdża.

Ina zaś stoi i spogląda na bruk: przed drzwiami jeszcze coś leży. Płaski przedmiot ze skóry. A samochód zniknął już za zakrętem. Ina schyla się, podnosi ów przedmiot, odwraca się szybko na pięcie i odchodzi.

Biegnie jak we śnie, mija kościół Marjacki i siada na ławce na plantach. I choć wierzy mocno, że to portfel pełen banknotów, to jednak waha się, czy go otworzyć. Bo jeśli znajdzie w nim tysiąc złotych, to z uczciwością będzie ciężka sprawa. Tysiąc — to byłoby dobrze, ale dziesięć tysięcy — jeszcze lepiej, bo za dziesięć procent znaleźnego podróż do Rzymu stałaby się drobiazgiem.

Wreszcie Ina otwiera portfel. Lecz wewnątrz jest tylko dużo małych jasnych kartoników: bilety wizytowe. A oto napis dużemi literami na czerpanym papierze: Dr. M. Rytard. Pod nazwiskiem adres.

Ina siedzi na ławce wśród drzew i płacze. Śnieg zaczyna padać, ale ona te go nie widzi.

Lecz wkońcu płacz ustaje. Już po kilku minutach Ina ociera łzy i raz jeszcze przeszukuje dokładnie portfel. Wewnątrz znajduje jeszcze złożoną we dwoje kratkę z kalendarza, z wypisaną na niej sentencją: „Najlepszym owocem na drzewie życia jest uczciwość".

Ina nie śmieje się, ale i nie płacze. Mruży półprzymknięte powieki i myśli o tem, że Dr. Rytard jest znaną osobistością w Krakowie, że jest wielkim entuzjastą i wydaje ogromne sumy na drogocenne starożytności. A teraz dowiedziała się jeszcze o tem, że jest fanatykiem uczciwości. Dobrze wiedzieć!

Ale kłamać nie jest tak łatwo. Także dla Iny. Jednak na drzewie życia Iny najlepszym owocem jest miłość. I dla tej miłości gotowa jest kłamać.

Nazajutrz siedzi Dr. Rytard w swym klubowym fotelu, jest w bardzo złym humorze. Bo Jan — jego służący — znowu zdążył ukraść butelkę wina. A kucharka znowu skłamała. Co za potworny świat!

Wtem przynoszą pocztę i oto znalazł się zagubiony portfel, jednak dziwnie mocno poowijany i powiązany, a do niego dołączony przemiły liścik. I ta milutka dziewczynka pisze mu, że zna-

Z REWJI MODY



Salon ERYKA Warecka 5

zaprezentował na rewji wiosennej w Adrji szereg uczesań, z pośród których specjalną uwagę zwracała nowa fryzura „a l'angel" swojem oryginalnem i artystycznem wykonaniem.

lazła jego portfel, a że właśnie ma wielkie kłopoty finansowe, więc wydał się jej syreną, śpiewającą pieśń pełną pokus. I że idąc za świetlanym przykładem nieśmiertelnego bohatera Odysseusza—dla przezwyciężenia pokusy związała samą siebie, wiążąc i owijając czemprędzej nieszczęsny portfel, bez zaglądania do środka, nie chcąc nawet widzieć pieniędzy na oczy! A że bilet wizytowy leżał na ziemi, wiedziała, komu zwrócić ową kuszącą syrenę.

Stary pan w fotelu klubowym nie jest już w złym humorze. Bo kto cytuje Dr. Rytardowi Odysseusza, ten zgóry może być pewnym wygranej. Dr. Rytard uśmiecha się, zaciera ręce — i on chce raz sprawić sobie przyjemność, woła więc szofera i posyła po Inę samochód z prośbą, by zechciała go odwiedzić.

Wkrótce Ina siedzi przed wielką bibljoteką — naprzeciw niej zaś Dr. Rytard. Przez wysokie okna wpadają promienie słońca, oświetlając gęstą brodę i bujne siwe włosy staruszka.

Kiedy Ina patrzy na niego i dziwi się w duchu, jak pięknym może być stary człowiek, na którego obliczu jaśnieje mądrość, dobroć i pogoda — kiedy Ina tak patrzy nań z podziwem, ucieka wszelka odwaga z jej serca, czuje, że nie potrafi okłamywać tego człowieka.

Pojmuje podświadomie, że zawsze istnieli ludzie, którzy hałaśliwie głosili prawdę, a których życie w rzeczywistości zadawało kłam temu wzniosłemu hasłu — gdy tymczasem ona stale utrzymywała, że gwiżdże na uczciwość, a przecież teraz czuje, że — z niewiadomej przyczyny — jest dla niej niemożliwością okłamywanie człowieka, który jej ufa.

Nie widzi wyjścia z tej sytuacji, czuje tylko zawrót głowy i bolesny ucisk w okolicy serca — Rzym znika w bezmiernej dali — a Ina poprostu zasłania twarz rękami i łka, jak małe dziecko.

Stary pan nic nie mówi. Ani słowa. Siedzi cicho, bez ruchu na swojem miejscu. A gdy pierwsze łkanie ustało, padają z ust Iny urywane słowa, wybucha pełne skruchy wyznanie: cała historja tego nieudanego planu. Nie upłynęło jeszcze pięć minut, a już dr. Rytard wie o wszystkiem.

Długo trwa cisza w pokoju o jasnych oknach. Ina nie śmie podnieść oczu, nie może spojrzeć w twarz, która chyba wyraża rozczarowanie, a napewno oburzenie.

Nie wie, że Dr. Rytard uśmiecha się, bo wydaje mu się w tej chwili, że widzi ponad głową Iny — boga Hermesa, który jako mały chłopiec ukradł woły Apollina, a potem cicho odszedł, legł niewinnie w kołysce i nakrył się pieluszką.

I to jest tak cudowne przeżycie dla Dra Rytarda, że uśmiecha się z zachwytem. Jest starym człowiekiem, a oto dopiero teraz objawił mu się bóg Hermes w całej swej istocie.

Wreszcie podnosi Ina ostrożnie głowę i patrzy lękliwie na Dra Rytarda. A on siedzi i spogląda na nią z pogodnym uśmiechem. Wtedy Ina także zaczyna śmiać się przez łzy:

„Jakże to? Dlaczego pan nie gniewa się na mnie?".

Ale stary pan wcale jej nie odpowiada. Nie może jej przecież zdradzić swego spotkania z bogiem Hermesem. Uśmiecha się tylko, wyciąga powoli z kieszeni zegarek, patrzy na niego w zamyśleniu, chowa go napowrót do kieszeni i mówi zwolna:

„Hm, jest już dość późno. Jeśli mamy zdążyć jeszcze do biura podróży po bilet do Rzymu, to musimy się pośpieszyć. A byłoby też wskazanem nadać depeszę do Rzymu, aby ten młodzieniec mógł panią na czas oczekiwać."

Ina znieruchomiała, zamyka oczy i przez całe dwie minuty nie może wymówić ani jednego słóweczka.

Spolszczyła *Wanda Staarowa.*

ŚWIAT FILMU

„Bounty" **Stylowy**

Okres świąteczny wprowadza zawsze ożywienie ruchu w teatrach i kinach. Nic więc dziwnego, że właściciele kinoteatrów postarali się, aby sprowadzić do Warszawy szereg dobrych filmów.

Przeglądając repertuar świąteczny kinoteatrów, naprawdę trudno się zdecydować, na co się wybrać.

Jakoś poszliśmy do „Stylowego" i zdaje się, że wybór był trafny.

„Bounty" jest filmem historyczno-morskim, opartym na rzeczywistych wydarzeniach zaszłych w marynarce angielskiej u schyłku XVIII wieku.

Doskonałość techniczna zdjęć morskich, wierne odtworzenie życia marynarskiego, piękno widoków egzotycznych dają barwną oprawę i malownicze tło śmiałej podróży fregaty „Bounty" na niezbadane wówczas morza południowe.

Historyczny rokosz marynarzy angielskiego żaglowca, bunt przeciw nieludzkim prawom morskim i idea zaprowadzenia nowego stosunku marynarza do oficera stanowią podstawę akcji.

Sam temat doskonale nadaje się do sfilmowania, a że autorzy scenarjusza i reżyserja stanęły na wysokości zadania, to też film, którego główne role odtwarzają aktorzy tej miary, co Charles Laughton, Clark Gable i Franchot Tone, jest świetny.

Fotogeniczność uskrzydlonej żaglami fregaty, piękno i groza oceanu dostarczają emocji wysokiej klasy. Znakomita ekspresja artystów i dynamika akcji przypomina nam najlepsze obrazy filmu niemego. Dyskretna aparatura tuszuje głosy artystów, a świetne efekty akustyczne scen morskich dają złudzenie rzeczywistości.

Ciekawa konstrukcja obrazu, operująca naprzemian, to konsekwentnem stopniowaniem nastroju, to nagłemi kontrastami pozwala artystom wykazać całą skalę możliwości, a że możliwości są duże a typy dobrane znakomicie, to też sugestja prawdziwości jest niemal zupełna.

Ośrodek akcji stanowi walka dzielnego pierwszego oficera, wyraziciela nowych idei — idei wzajemnego szacunku marynarza do oficera ze zbydlęconym kapitanem, dającym ujście swym sadystycznym instynktom w chłoście i katowaniu podwładnych za przewinienia po większej części celowo prowokowane lub złośliwie imputowane. Dzikie instynkty kapitana, okradającego i głodzącego załogę, nieludzkie kary i niewykonalne rozkazy zamieniają statek w pływające piekło, oddane z całym brutalnym realizmem. System kapitana bankrutuje — wybucha bunt.

Walka z żywiołem, podróż na niewielkiej łodzi, sąd wojenny nad zbuntowaną załogą, cienie wielu szubienic, a przytem rajskie, czarowne życie na cudnej wyspie miłości — Tahiti oto największe walory filmu.

Gra artystów, znakomite typy i ciekawa dramatyczna akcja sprawiają, że z żalem wita się zakończenie.

J.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.**

ŚWIAT FILMU

Jak pracuje Chaplin?

Hollywood jest miastem, gdzie człowiek musi nauczyć się zachować maksymalną wyniosłość i pogodny uśmiech nawet w momentach, gdy nie ma co włożyć do ust. Osobnik, nie posiadający stałego kontraktu, musi mieć pewność, że z dnia na dzień może zostać bez pracy, a co za tem idzie — bez grosza przy duszy. W innych krajach czy miastach w takiej tragicznej chwili rozpacza się głośno, wyrywając sobie włosy z głowy. Tam — na odwrót — im bardziej jest się nieszczęśliwym, tem usilniej należy się starać nie dać tego po sobie poznać — im się jest głodniejszym, tem większą trzeba zachowywać obojętność, jeżeli — o ile taki ewenement się zdarzy — zaproszą człowieka na wystawny obiad.

W chwili, gdy opowieść niniejsza się rozpoczyna, byłem wyżęty jak łachman. Nie miałem w ustach nic już od czterech dni. Byłem blady, chudy, wycieńczony. Ale przystosowałem się do okoliczności; przechodziłem przed drzwiami restauracyj z godnością stałego bywalca, z pewnem zblazowaniem. Co więcej, mimo mego osłabienia chodziłem co wieczór na kieliszek do Harry'ego d'Abadie d'Arrast, głównego inscenizatora.

Codziennie spotykałem tam Marion Davies, Montę Bell, Adolfa Menjou i Charlie Chaplina: sympatyczną paczkę, z której nikt nie domyślał się nawet, że zamiast szklanki whisky wolałbym befsztyk z kartofelkami.

Tegoż wieczoru po trzech wytrawnych Martini zapadłem w głuchą bezmoc. Wokół mnie mówiono coś, czego nie rozumiałem. Co pewien czas wibrował mi w uchu wysoki głos Chaplina. Słyszałem dźwięk jego słów, gdy nagle jedno zdanie przeniknęło do mej świadomości:

— Na jutro trzeba mi dwustu statystów!

Mam wstręt do proszenia o cokolwiek. Ale tym razem koniecznie musiałem — pod grozą głodowej śmierci — odrzucić mą głupią dumę i dać się zaangażować przez Chaplina.

— Czy mógłbym zajść, aby przyjrzyć się pracy? — zapytałem od niechcenia. Przetelegrafuję mój artykuł do Paryża, a to byłby świetny temat.

Charlie, który podnosił właśnie kieliszek, zatrzymał się nagle, spojrzał na mnie bystro swemi brunatnemi oczami i uśmiechnął się.

— Załatwione. Będę jedynie zmuszony traktować pana jak zwyczajnego statystę. Będzie pan otrzymywał 15 dolarów dziennie przez okres trwania zdjęć. Pan mi to wybaczy?

Dzielny człowiek! Zrozumiał.

Nazajutrz znajdowałem się przed bramą studio dużo wcześniej przed naznaczoną godziną. Ze mną stał cały tłum kobiet, mężczyzn, dzieci i starców zaangażowanych do zdjęć i oczekiwał niecierpliwie otwarcia wrót.

Punktualnie o 8-ej wtargnęliśmy, potrącając się i przepychając jak stado owiec.

Po raz pierwszy widziałem studio Chaplina. Jest ono maleńkie, a jednak doskonałe technicznie.

Położone przy La Brea avenue składa się z małych angielskich domków, tonących w kwiatach i zieleni. Nie ma tej okropnej fasady fabryki, jak wielkie studia M. G. M. czy Paramountu. W tym pięknym zakątku, który sam stworzył, Chaplin jest jedynym panem hangaru, gdzie na-









kręca się zdjęcia, poczekalni na lewo od wejścia, biur „reżysera — aktora — scenarzysty" z prawej i wreszcie swego prywatnego bungalow w głębi, gdzie żyje i odpoczywa.

Gdyśmy przyszli, zastaliśmy go, bez kołnierzyka, w porannej marynarce z aureolą siwych włosów, w których błyszczało słońce.

Henry Bergmann, najwierniejszy przyjaciel i najbardziej oddany Charliemu współpracownik, wybierał i pouczał statystów.

W studio królowały wesołość, gorączkowe przygotowania i niezmordowany ruch. Jedni biegali, inni mówili, jeden z maszynistów podśpiewywał z zapałem. Chaplin, siedząc na krześle na biegunach z kawałkiem lustra w dłoni, nakładał szminki. Dużo czerni pod oczy, peruka kruczo czarna, podkład cielisto różowy, dużo białego pudru na twarzy, sztuczne wąsiki, laseczka, słynne buty i melonik.

Skoro już przygotowany ukazał się na podwórzu, dziwne wzruszenie ścisnęło mi gardło. Po raz pierwszy widziałem tego rzeczywistego człowieka, tak jak ukazuje się na ekranie.

— Henry, mam świetną myśl. Idź poszukać dwóch tuzinów białych gołębi.

Henry zdumiony spojrzał na swego szefa.

— Ale o tej wczesnej godzinie...

— Musisz mi je znaleźć. Ten pomysł wpadł mi do głowy w nocy. Umieści się je na tym stole. Usiądę obok. Zerwą się. Zacznę je gonić. Polecą szukać schronienia na głowach statystów. Śmieszne? Prawda?

— Ale jak one znajdą właściwe kapelusze? zapytał zdumiony Henry.

— Naklei się po kilka ziarnek, aby je zachęcić.

Wyszedł. Po chwili wrócił, biegnąc, jakby był ścigany. Zakręcił się na pięcie i przypadkiem spotkał się nos w nos z napuszoną wiedźmą. Runął w jej objęcia.

— Oh! krzyknęła przestraszona, z włosami spadającemi na nos i z łydkami w powietrzu.

Później odwrócił się i odszedł swoim kaczym chodem, pogwizdując aryjkę.

— Podoba wam się? zwrócił się do tłumu dwustu statystów.

— Tak!

— Śmieszne?

— Tak.

— Dziękuję.

Powtórzył scenę dwa czy trzy razy, poczem wytłumaczył grubej pani, pięknej pannie, godnemu starcowi i szoferowi taksówki ich role w dalszej scenie. Mówił z ożywieniem. Czuło się, że zna ogólne zarysy scenarjusza, ale że wymyśla detale w miarę jak akcja się rozwija.

Nadeszło południe. Henry Bergmann jeszcze nie wrócił. Charlot zaprosił mnie na śniadanie i mówił, mówił bez przerwy. Omawiał nowe „gagi", nowe pomysły, nowe sceny. Zapytywał mnie o zdanie. Ale ja jadłem i nie miałem czasu, aby mu odpowiedzieć.

Henry Bergmann wrócił koło czwartej, wyczerpany i spocony z siedmioma nieszczęśliwemi... krukami i jednym kanarkiem. Charlie spojrzał na to ze zdumieniem.

— Co to jest, Henry? — zapytał.

— To są białe gołąbki. Ale jako że nie było białych gołębi, więc kupiłem czarne kruki i żółtego kanarka. Znalazłem tylko to.



Carol Hughes lansuje nową kreację na pokazie mód w Hollywood.

I z westchnieniem runął na krzesło, podczas gdy Charlie zastanawiał się głęboko.

— Właściwie mi tego nie trzeba, rzekł. Ani gołąbków, ani kruków, ani kanarka. Odnieś je, Henry. One mnie drażnią.

W życiu nie widziałem bardziej skonsternowanego spojrzenia niż Henry'ego, gdy usłyszał ten rozkaz.

Pracowaliśmy znów z zapałem. Gorąco, podniecenie i kawały szefa dodawały nam sił. Od czasu do czasu puszczał jakiś dowcip i kątem oka patrzał na efekt.

Zdjęcia trwały do 6.30. Dzień się skończył. Charlie pożegnał wszystkich ruchem ręki, rzucił grzeczne „dziękuję" i odszedł do siebie. Był zachrypnięty, spocony.

Upadł na fotel i pomału wracał ze swego snu do rzeczywistości.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa